

WĘDRÓWKI ARTYSTYCZNE

WŁ. NAŁĘCZ

Od Tyńca do Jastarni

Od Tyńca do Jastarni

szlakiem wodnym naszym

podróż odbył, opisał i zilustrował

WŁODZIMIERZ NAŁĘCZ

Z portretem autora

WARSZAWA

—

1920

DRUKARNIA
WSPÓŁCZESNA
SZPITALNA 10.

Od Tyńca do Jastarni.

I-sza część: „Od Tyńca do Warszawy.“

„Cudze chwalicie, swego nie znacie,
Sami nie wiecie, co posiadacie.“

Przepłynąć Wisłę wszędzie, gdzie tylko to byłoby możliwem, i w ten sposób poznać malownicze brzegi matki rzek polskich, która jak stułą związała na zawsze w górze leżące ziemie polskie z Pomorzem przy ujściu swojem — było oddawna moim gorącym zamiarem.

I istotnie Wisła wiąże ziemie polskie — wszak jednym z powodów strasznej wojny była konieczność, iż do kogo należy środkowa część Wisły, do tego musi należeć i jej ujście, t. j. wyjście do morza. Niedaremnie też Niemcy uporczywie ciągle powracają do tak zwanej granicy Knesebeka, która miała sięgać prawie murów Warszawy... Więc Wisła nierozerwalnie w sposób naturalny łączy ziemie polskie w jedną całość, i stała się nam niepowetowana krzywda, że dotąd było inaczej. Lecz to minęło, dzięki Bogu, bezpowrotnie, a cała Wisła stanowi główną arterję i własność nierozdzielną narodu polskiego, który wzrósł na jej brzegach. Poznajmyż ją, zaczynając od jej źródeł.

W tak zwanym Beskidzie, w zachodniej części Karpat — na Śląsku wznosi się góra Barania. Ze stoku tejże góry wypływają dwa strumyki: jeden zwany Czarną, a drugi Białą Wisełką. Połączywszy się z sobą, tworzą już większy potok, a przelewając się po złomach kamieni, dopływają do wsi, noszącej także miano Wisły. Tutaj inne leśne strumyki zasilają potok, i wszystkie razem złączone spadają ze skał i tworzą piękny wodospad.

Od wsi Ustronia, Wisełka przybiera nazwę Wisły, wykręca się na wschód, przyjmuje od prawego brzegu rzekę Białą.

Naprzeciw Oświecimia wpada tutaj Czarna Przemsza do Wisły, która staje się odtąd poważną rzeką, płynącą wśród okolic pagórkowatych, co dodaje jej brzegowi wiele uroku. Mija Tyniec, Bielany i pod Krakowem rozlewa się już szerszą wstęgą wodną po równinie.

Ożywiwszy Kraków swojemi wodami, Wisła płynie dalej, przecina puszczę Niepołomicką i dąży ciągle na wschód aż do Sandomierza. Potem płynie w pełnym kierunku, skręca zwolna ku zachodowi, przybywa pod Warszawę, Płock, a dalej pod Toruń. Poniżej miasta Gniezna rozdziela się na dwa ramiona, z których wschodnie czyli prawe, zwane Nogatem, płynie na Malborg i dwudziestu odnogami wpada do Zatoki Fryskiej czyli Świeżej, lewe zaś, czyli zachodnie, znacznie głębsze, jeszcze raz rozdzielone, dwiema odnogami, Leniwką i Szkarpawą, wpada do morza Bałtyckiego pod Gdańskiem.



Źródło Czarnej Wisły.



Wodospad Wisły.

Spory kawał ziemi, bo sto czterdzieści trzy mile, przepływa Wisła, zanim w morzu zginie. W ciągu swego biegu przybiera większych i mniejszych dopływów około stu dwudziestu. Wszystkie te dopływy zaczynają się na ziemiach polskich — a więc cała sieć Wisły zaczyna się i kończy w granicach Polski. Najważniejsze z okolicznych dopływów Wisły są: San, Wieprz, Bug, Narew i Pilica.

Jak powiedzieliśmy wyżej, Wisła już od Oświecimia, pod którym wpada do niej Czarna Przemsza, staje się rzeką możliwą do nawigacji. Podróż jednak rzeką, kochany Czytelniku, odbędziemy „z biegiem Wisły“, w tych warunkach, w jakich ja ją mogłem odbyć w lecie w roku 1914. A więc w czerwcu, na początkach

wakacyj letnich, przyjechałem do Krakowa, próbując stamtąd wsiąść na statek i płynąć w dół z biegiem Wisły. Niestety, żadnej komunikacji z przyczyn natury politycznej między Krakowem a Sandomierzem wtedy nie było, więc z żalem musiałem z tego, niewielkiego zresztą odcinka Wisły zrezygnować. Nie przyszło mi na myśl, iż, ostatecznie, na austrjackiej tratwie ze Ślązakami-flisakami mógłbym ten kawałek przepłynąć. Uskuteczniłem to w innym wypadku — na Dunajcu, kiedy od Niedzicy i zamku Czorsztyńskiego popłynąłem z naszymi „orylami" do Szczawnicy. Podróż, która dała mi moc dodatnich wrażeń, a którą z przyjemnością przebyłem.

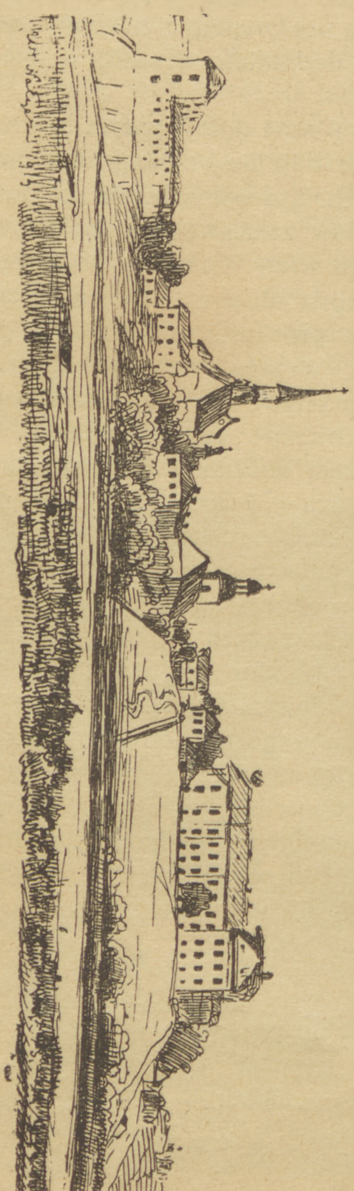
Natomiast w Krakowie dowiedziałem się, iż w pewne dnie wyrusza stamtąd w górę rzeki statek spacerowy do Tyńca, niegdyś niezmiernie bogatego opactwa, o którym tyle pisze Sienkiewicz w swoich Krzyżakach. Sto wsi należało do klasztoru, z których dochody czerpało opactwo Benedyktynów, założone przez Bolesława Chrobrego. Z Tyńca rozchodziło się pierwsze światło wiary i oświaty po Polsce. Było tam i grodzisko warowne; stanowiło ono wstępną obronę Krakowa. Oczywiście, że skwapliwie skorzystałem z tej pięknej parogodzinnej wycieczki i w pogodny, słoneczny dzień wsiadłem na statek, stojący u stóp Wawelu. Turyści, niestety, jakoś się leniwie zbierali — dowód, iż turystyka po kraju rodzinnym nie jest jeszcze w rozwoju. Miałem za to czas zachwycać się wspaniałym widokiem Wawelu od strony Wisły. Nareszcie, z dużem opóźnieniem, ruszyliśmy w drogę. Przepływamy obok tak zwanego Zwierzyńca — dalsza część Krakowa, gdzie już dominują wille podmiejskie. Na skręcie widzimy ściany jednego z klasztorów, a widok na Wawel zamyka horyzont. Przy nowym skręcie rzeki zamek królewski znika nam z oczów — lecz za to zaczyna górować Kopiec Kościuszki i długo, długo jest widzialny. Miasto i przedmieścia kończą się; zbliżamy się do historycznych Bielan. Przypomina się obraz Matejki „Jan Kazimierz, patrzący z Bielan na palący się Kraków". W Bielanach zachwycamy się ślicznie położonym klasztorem Kamedułów. Stoi on na wysokiem wzgórzu, pokrytem gęstym lasem, na wyniosłym i stromym brzegu Wisły. Podobno miejscowość ta otrzymała swą nazwę od białych habitów, które noszą Kameduli, zakonnicy, mający bardzo surową regułę. Brzegi rzeki wysokie, o wapiennych pokładach, pokryte przeważnie pięknemi lasami. Mijamy stromy, skalisty brzeg — gdzie w wapniakach potworzyła się spora liczba grot i jaskiń w sposób naturalny. Legenda ludowa, oczywiście, powiada o nim jak o siedlisku i kryjówce „zbójników." Płyniemy obok stojącej oddzielnie śród wierzb karczmy. Okazuje się, iż jest to słynna karczma „Rzym", gdzie djabeł przyłapał nareszcie pana Twardowskiego, a ten, chcąc się wykręcić, zadawał biednemu djabłowi niemożliwe roboty, aż po zaproponowaniu przez pana Twardowskiego, aby djabeł pobył z jego mał-



Tyniec.

żonką — biedny zły duch nie wytrzymał i jak czmychnął — tak — bezpowrotnie...

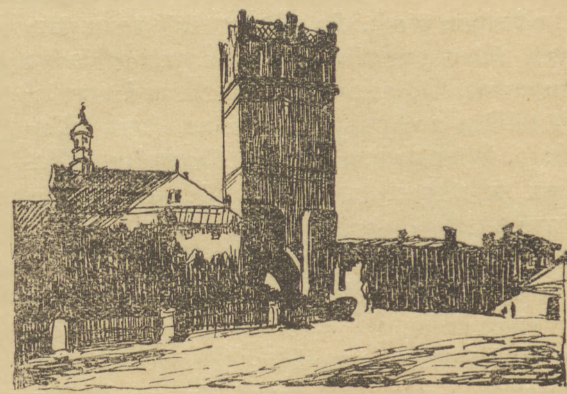
Droga ciągle malownicza. Wisła ma tutaj charakter zupełnie inny, aniżeli w środkowej drugiej części — między Warszawą a Krakowem, naprzykład; jest tu znacznie węższa, nie rozlewa się szeroko, bo ujęta w brzegi skaliste i wysokie— jest rzeką płynącą wśród wzgórz. Jeszcze jeden zwrot, a przed nami na stromej skale zarysowują się potężne mury klasztoru a zarazem i fortecy Opactwa Tynieckiego.



Sandomierz — widok ogólny.

Tu spędziliśmy kilka miłych godzin, zwiedzając gmach dawneg) klasztoru. Zadowoleni z wycieczki, wieczorem powróciliśmy do Krakowa, aby nazajutrz wyruszyć koleją do stacji Nadbrzezie — krańcowej, położonej wprost Sandomierza, a oddzielonej kordonem i komorą rosyjską. Wsiadamy w łódź parową i po dopełnieniu niezbyt ścisłych, zresztą, formalności, wychodzimy na brzeg wiślany, a przed nami na wzórzach widzimy rozłożony prastary Sandomierz—gród Henrykowy, bo po śmierci Bolesława Krzywoustego (1139) Sandomierz został stolicą udzielnego księstwa Sandomierskiego, wyznaczonego Henrykowi. Książe ten, jedyny z książąt polskich, z rycerstwem europejskiem udał się do ziemi św. odbierać z rąk niewiernych Jerozolimę. Dziś to miasto przeszłości i zabytków, kościołów dużo, w których bardzo nieliczne grono osób modlących się. Kordon austrjacki, przechodzący na przeciwnym brzegu Wisły, najwięcej może szkodził w czasach ostatnich — przemysł ustał, a handel przeszedł w ręce żydowskie. Lecz i to minęło. Inżynierja wybudowała podczas wojny podobno śliczny drewniany most, łączący oba brzegi; oby służył jak najdłużej. Sandomierz został zaliczony do miast mniejszych. Ale zabytki, mówiące na każdym kroku o świetnej przeszłości, zasługują, abyśmy choć pobieżnie wszystko to zwiedzili. Otóż wjeżdżającemu od strony Opatowa rzuca się w oczy dominująca tu brama opatowska. Czworokąt $51^1/_8$ łokci wysoki, $16^1/_2$ szeroki i $15^1/_2$ długi. Zbudowana w wieku XIV. Najwyższe części renesansowe z balustradą tynkowaną, dobudowano w wieku XVI. Brama była obronną. Wewnątrz widać występy

muru, gdzie ustawiono pomosty dla wojska, wąskie otwory wskazują, którędy strzelano do wrogów. Przy bramie były głębokie piwnice, mocno sklepione do przechowywania prochu. Wieża ta była połączona z innemi bramami grubym murem, który obecnie nie egzystuje, tylko nad Wisłą sterczą resztki murów bramy krakowskiej. Pierwszy budynek starożytny, zwacający uwagę przy ulicy Opatowskiej, po przejściu bramy, był oddany pod kościół i szpital św. Ducha, wybudowany przez Żegotę, kasztelana Krakowskiego w r. 1222, a mający służyć dziełom miłosierdzia. Zbliżamy się do środka miasta. Przy wejściu na rynek, na prawo mała uliczka. Tu widzimy małe sklepy z ladami żelaznemi, a dalej bardzo stary drewniany dom z dużym balkonem i drzwiami, ozdobionemi ciekawym ornamentem. Po drugiej stronie uliczki wielka kamienica, wystawiona w XV-ym wieku przez kardynała Zbigniewa Oleśnickiego. Dom ten od strony rynku ma charakterystyczne podsienia o trzech filarach; szczytowa ściana miała attykę. Rynek — wielki, podłużny prostokąt — zabudowany domami na każdym rogu wylotu ulic. W środku rynku ratusz — stary, murowany budynek z XIV. wieku — bardzo ciekawy, z zachowanym na górze wieży orłem polskim, jedynym zdaje się, co przetrwał i czasy gospodarki rosyjskiej.



Brama Opatowska.

W rynku znajdziemy jeszcze inne pamiątki. Dom, w którym obecnie znajduje pomieszczenie i sklep spożywczy, to „konwikt“ dla młodzieży szkolnej, założony przez Jakóba Bobolę w r. 1635. W korytarzu na schodach tablica objaśniająca. Dalej za ulicą, na prawo, w końcu tej linji widzimy dom o grubych szkarpach, własność niegdyś Bednarego. Obok, w głębi, dawny klasztor Dominikanów. Tu Leszek Czarny w r. 1289 pozwolił zamieszkać tym zakonnikom. W następnej ulicy widzimy kilka domów, w których przechowały się charakterystyczne „siostrzeny“ — (główna belka drewnianego sufitu, ozdobiona ornamentami i napisami). Przeszedłszy rynek trzecią linją, wchodzimy w ulicę Katedralną. Zwracają tu uwagę: pałac biskupi, a naprzeciw dom murowany o 4-ch szczytowych ścianach— jest to jedna z dawniejszych kanonji. Dalej dzwonnica katedralna z wieku XVII, a wprost niej katedra — gmach ostrołukowy z czasów Kazimierza Wielkiego. Fronton barokowy z przybudówką, dodaną w wieku XVII. W podziemiach katedry był między innymi pochowany czasowo Roman, książe halicki, który najechał ziemię sandomierską i zginął pod Zawichostem w r. 1250.

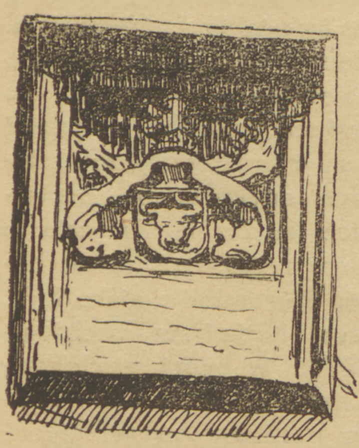
Ale śpieszno nam do „domu Długosza“, mieszczącego się w sąsiedniej uliczce. Budowa z cegły czerwonej, w stylu ostrołukowym o charakterze kra-

kowskim. Ma typowe kamienne odrzwia i podwójne okna. Po płaszczyźnie zewnętrznych ścian przebiega z czarnych główien ornament. Od strony podwórza nad drzwiami tablica erekcyjna, kamienna, herb Długosza, Wieniawa, i napis: „Dom ten Długosz wystawił na mieszkanie dla wikarjuszów."



Ratusz w Sandomierzu.

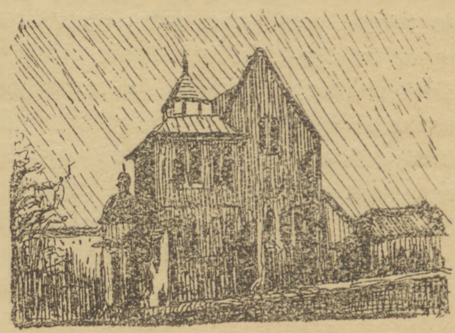
Naprzeciw w ogrodzeniu, długi dom piętrowy z renesansową attyką — to dawniejsze kolegjum jezuickie. Wracamy uliczką ku katedrze, schodzimy z pagórka katedralnego i stajemy przed dużym, białym gmachem — dziś więzienie, dawniej zamek królewski, którego czwartą część stanowi budynek obecny. W historji polskiej częste mamy wzmianki o sandomierskim zamku. Stąd właśnie w r. 1153, na czele zbrojnych rycerzy, wyruszył do Ziemi Świętej po odbiór grobu Zbawicieia książe Henryk, syn Krzywoustego. Tu mieszkał najmłodszy syn Krzywoustego, Kazimierz, tu przygotowywał prawa, które ogłoszone na sejmie łęczyckim zjednały mu tytuł Sprawiedliwego. Tu do Sandomierskiego zamku przybył Gedeon, biskup krakowski, z wieloma panami zapraszać księcia Kazimierza na tron krakowski. W komnatach zamku mieszkali: szlachetny Leszek, żona jego pobożna Grzymisława, pobożne dzieci — Adelajda i Salomea, syn Bolesław i święta Kunegunda, synowa. Nauczał ich proboszcz, Wincenty Kadłubek; nawiedzał święty kanonik, Czesław Odrowąż. Później przychodzą napady tatarskie — zamek krwią zbryzgany, pożarem zniszczony, aż wreszcie Szwedzi prochem wysadzili trzy części olbrzymiego gmachu i doprowadzili do ostatecznej ruiny.



Tablica na domu Długosza.

Poniżej na lewo duży spichlerz starożytny. U stóp jego przystań: dawniej tędy przechodziło koryto Wisły. Nad spichlerzem—ruiny bramy krakowskiej. Wąwozem po lewej stronie idziemy do góry i stajemy przed kościołem św. Jakóba, jednym z bardzo niewielu, rzadkim zabytkiem budownictwa w stylu romańskim, zbudowanym przez Iwona Odrowąża w r. 1226 Jest to jedyny przykład na ziemiach polskich, jak pisze Łuszczkiewicz, budownictwa rzetelnie ceglanego wtedy, kiedy powszechnie

w okolicy do monumentalnych budowli używany jest ciosowy kamień. Z wystawieniem kościoła św. Jakóba zaczyna gasnąć znaczenie Cystersów i ich cioso wych budowli, a powstaje zwrot w kierunku użycia tańszego środka: dobrze wypalonej cegły. Najciekawszą częścią budynku jest portal. Drzwi boczne, pisze Gerson, są arcydziełami wyrobu z gliny palonej, w części glazurowej. Staranność wykonania wszystkich szczegółów i ozdób tego portalu jest zadziwiająca— głowy, liście wypukłe, a nawet ozdoby ryte, skutkiem dobranego materjału i należytego wypalenia, przez sześćset kilkadziesiąt lat zachowały się w pierwszej swej czystości, pomimo, że ta ściana kościoła jest ku północy odwróconą" (Tyg. II. 1871 str. 114). Inne części kościoła jednak bardzo podupadły z biegiem czasu i dopiero teraz umiejętnie są odrestaurowywane. Najwięcej wykończona czasu mojej wycieczki była kaplica św. Jacka przerobiona podobno z celi, w której mieszkał ten święty przed siedmiuset laty.



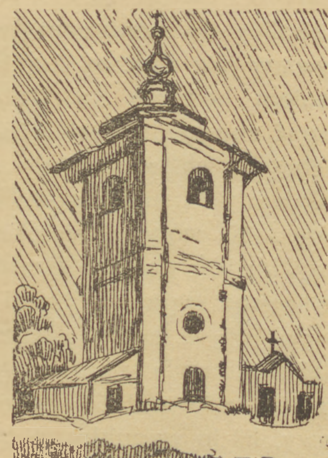
Kościół św. Jakóba.

Na lewo od wejścia, kaplica wystawiona przez Lemmderga w r. 1600, a poświęcona pamięci czterdziestu dziewięciu męczenników-Dominikanów z błogosławionym Sadokiem na czele, pomordowanych przez Tatarów w r. 1260. W tejże kaplicy znajduje się płyta nagrobka bł. Adelaidy — dzieło XVII w., z tegoż czasu tablica z wizerunkiem i epitafem. Kościół otaczają stare lipy, sadzone, jak mówią podania, przez tegoż świętego Jana Odrowąża.

Od kościoła św. Jakóba idziemy w stronę kościoła św. Pawła. Obecny kształt i ozdoby nadał mu ks. Orzechowski na początku XVIII.; w tym również czasie stanęła dzwonnica. W murach na zewnątrz widzimy kilka wmurowanych kul armatnich — na pamiątkę tych bitw, jakie tu się odbywały z austrjakami w czerwcu roku 1809. Gdy drogą około cmentarza kościelnego dojdziemy do figury św. Tekli, a stąd skręcimy w lewo, dojdziemy do pagórka „Salve Regina" — wielkiego kopca, jak gdyby usypanego, a związanego legendą z 49 męczennikami. Podanie mówi, że tu miały być pochowane ciała owych męczenników-Dominikanów, że usypano im ten kurhan, jako pomnik, że od czasu do czasu miały tu błyszczeć te słowa: „Salve Regina."

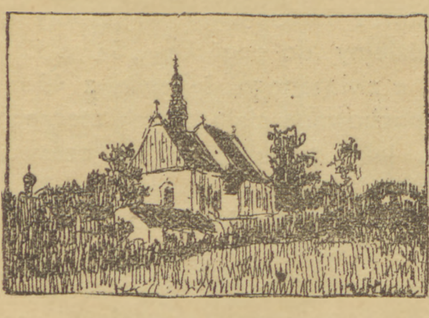
Musimy jeszcze zwiedzić stojący na wzgórzu kościół reformacki św. Józefa. Na zewnątrz niczem szczególnem się nie odznacza, wewnątrz prosty i ubogi, jak wszystkie kościoły Reformatów, ale w podziemiach zawiera grób Teresy Izabeli Morsztynówny, nadzwyczajnie zachowany. Ciało ośmnastoletniej panienki, chociaż od dwustu lat leży już w grobach kościelnych, nie rozsypało się jednak

w proch, nie uległo zepsuciu; owszem, znać doskonale twarz, oczy, nos, usta, ręce i włosy. To jest tem dziwniejsze, że tuż obok widzimy zwłoki ludzi, daleko później zmarłych, a zostały z nich tylko czaszka i kilka grubszych kości z rąk i nóg. Wielu pobożnych wierzy, że to zachowanie ciała od zepsucia jest nagrodą za życie cnotliwe, jakiem się odznaczała Teresa Morsztynówna, córka wojewody Sandomierskiego, Stanisława Morsztyna.


Kościół św. Pawła.

Prawie naprzeciwko kościoła św. Józefa, przy drodze od strony Zawichostu, zwraca uwagę turysty duży kościół i klasztor Panien Benedyktynek. Kościół i klasztor istnieje tu niemal lat trzysta. Wiele bogobojnych zakonnic zapisała tu kronika klasztorna, a śród nich szczególniej jaśnieje imię Krystyny Brzezińskiej (1650—1739). Były tu zakonnice z zamożnych i wpływowych domów: Tarnowskich, Tarłów, Oleśnickich, Zborowskich. Dziś w gmachu poklasztornym mieści się seminarjum. Przebiegliśmy, choć pobieżnie, tyle pamiątek naszych historycznych prastarego grodu — tych świadków naszej starej kultury. Jakże są one wszystkie nam bliskie i jak godne poznania przez nasze podrastające pokolenia. Tu jest skarbnica, gdzie przemawia duch polski, zakuty w te mury omszałe. Lecz żegnajcie, zabytki prastarego grodu — czas było dalej.

W piękny poranek letni wsiedliśmy na statek i ruszyliśmy dalej z biegiem rzeki do Zawichostu. O kilka wiorst od miasta, na lewym brzegu podnosi się ciekawe płaskowzgórze znane pod nazwą Gór Pieprzowych. Oto jak je charakteryzuje Józef Siemiradzki w Pamiętniku Fizjograficznym w t. VII: „W odległości pół mili na północ od Sandomierza, na stromym brzegu Wisły, pomiędzy Kamieniem Plebańskim i Kamieniem Mściowskim, widzieć można czarne, lśniące, twarde łupki ilaste z podrzędnemi warstwami szarego kwarcytu, piaskowca, oraz czarnego zlepieńca kwarcytowego z żyłkami białego szpatu wapiennego, rzadziej zaś pirytu i gipsu. Łupki te, znane pod imieniem Gór Pieprzowych, są mocno pofałdowane i ugięte, upadając stromo na północ i południe pod kątem 50—80° i przechodzą ku południowi w stronę Sandomierza, w pstre, czerwone i zielono plamiste łupki marglowe. Wysokość odsłonięcia wynosi około 30 sążni. Na łupkach w górze, leży niegruba warstwa


Kościół św. Józefa.

mioceniu i lössu. Góry te ciągną się na przestrzeni dwóch wiorst. Chociaż przedstawiają się z daleka jako płaszczyzna, jednakże są popsute i poszarpane rozmaitemi wyrwami i głębokimi wąwozami."

Na tych górach, zwłaszcza od strony południowej, znajduje się cmentarzysko z czasów przedhistorycznych. Widok z gór na Sandomierz, na równinę galicyjską i wstęgę Wisły jest bardzo piękny. Płyniemy dalej. Wisła robi rozmaite skręty. Jeden brzeg tu i owdzie zwykle wyższy, stromo urwany ku rzece. Białe wapienne pokłady często oślepiająco połyskują w słońcu. Mijamy parę małych przystanków i dłużej zatrzymujemy się w Solcu. Tu niedaleko egzystują mocne źródła lecznicze i zakład dla chorych. Niestety, jak zwykle u nas, brak dobrej komunikacji i brak wygód odstrasza kuracjuszów. Tymczasem dobrze postawiony i rozwinięty zakład ma dużą przyszłość przed sobą i zasługuje na daleko większą uwagę. Jest to również jedna ze spraw pilnych. Płyniemy dalej, i wkrótce na horyzoncie zaczynają dominować, na wyniosłem wzgórzu, potężne mury zamku Firlejów w Janowcu. Zamek przechodził rozmaite koleje. Tu oparli się podczas rokoszu marszałka Mikołaja Zebrzydowskiego zbuntowani przeciw królowi. Musieli tu właśnie ulec wojskom królewskim, i Zebrzydowski uroczyście przeprosił króla. Ostatnio zamek należał do ks. Marcina Lubomirskiego. Zamek zburzyli najradykalniej w roku 1656 Szwedzi podczas swoich najazdów.

Więc, jak powiedzieliśmy wyżej, miasteczko i zamek zawdzięcza swoje powstanie możnemu rodowi Firlejów. Przeto Firlej, kasztelan Wiślicki, w r. 1537 otrzymał od Zygmunta I mandat na założenie miasta i zamku. Jan Firlej, kasztelan Lubelski, ustanowił jarmark i wydał w roku 1580 regulamin miejski. Pod możną opieką Firlejów miasto się rozwijało. Stanął kościół z wieżą czworoboczną i typową krakowsko-renesansową facjatą — tą niezawodną oznaką budowli z XVII-go wieku. Kościół posiada kilka pięknych dzieł sztuki — dominuje wspaniały pomnik Tarłów. Pomnik stoi po lewej stronie ołtarza. Jest to jeden z najpiękniejszych zabytków rene-



Kościół w Janowcu.

sansu w kraju. Leżące postacie Stanisława Tarły, starosty Sochaczewskiego, i jego małżonki w okazałych strojach z końca XVI w. Bardzo piękne i ciekawe są dolne i boczne ornamentacje. Twórca pomnika niewiadomy, ale musiał to być artysta pierwszorzędny, z wielką pomysłowością w ornamentyce renesansowej. Data wykonania dzieła: 1599.

Zwraca też uwagę wiszący na prawym filarze przy prezbiterjum piękny zegar w stylu rokoko. Bogate ozdoby ze złoconej blachy na tle zielonem są nadzwyczaj gustowne. Nad zegarem portrety, z których górny przedstawia dawną właścicielkę Janowca — Piaskowską, starościnę Taraszczańską, oraz pomnik jej męża.

Kościół w Janowcu położony jest u stóp stromego bardzo wapiennego wzgórza, na którem dominuje olbrzymi zamek, jeden z największych w kraju. Wzgórze zamkowe, oddzielone głębokim wąwozem od całego pasma sąsiednich pagórków, nadawało się doskonale do wzniesienia obronnego zamku. To też ruiny obecnego zamczyska, które oglądamy, wzniesione są za czasów królowej Bony przez możnych Firlejów z prawdziwie królewskim przepychem. Siedem wielkich sal, a dziewięćdziesiąt osiem pokojów składało się na całość tego olbrzymiego gmachu. Przez wąską ścieżkę po stoku wzgórza dostajemy się do mostu dawniej podnoszonego nad fosą, poza którą stajemy przed piękną arkadą bramy zamkowej. Przez bramę wchodzimy na dziedziniec zamkowy. Dzisiaj sterczą zewnętrzne tylko ściany, wewnętrznych zaś brak wielu i przez to nie łatwem jest zorjentowanie się, jak wyglądał zamek za dawnych czasów. Całą południową stronę od Wisły zajmowały najpiękniejsze komnaty i sale. Zwłaszcza środkowa sala jest imponująca swoim obszarem i wymiarami okien, sklepionych półkulisto. Zamek wzniesiony w czasach panowania u nas renesansu, którego zwolennikami byli wykwintni dworacy, możni Firlejowie. Amfilada pokojów kończy się narożną okrągłą basztą, która najlepiej się przechowała. Musiał tu być buduar, lub zaciszny gabinecik do poufnych wizyt i pogawędek. Bardzo bogate gipsatury ozdabiają gzymsy, sufit i rogi komnaty. W supraportach i nad oknami przechowały się jeszcze malowidła włoskiej roboty, a przedstawiające sceny mitologiczno-miłosne. Po bezpotomnej śmierci Firlejów zamek przeszedł w posiadanie Tarłów, a później Lubomirskich.

W roku 1656 w lutym Szwedzi złupili i spalili zamek doszczętnie. Styl renesansowy zamku, w jakim go wystawił Piotr Firlej, oczywiście uległ zmianie ku gorszemu z biegiem czasu. Widzimy więc ornamenty w charakterze saskich rokokowych budowli, a zamurowanie gustownej attyki i zamiana jej na gładką parkanową ścianę to jakby symbol upadku kultury i smaku artystycznego u nas, po złotym wieku Zygmuntowskim. Dłużej nieco zatrzymaliśmy się nad opisem zamku Janowieckiego, gdyż i teraz ruiny jego imponująco się przedstawiają i długo, długo są widzialne, choć statek kilka razy już skręcił z biegiem Wisły i oddalił się znacznie.

Za Janowcem tuż zaraz lądujemy w uroczym Kazimierzu, tej skarbnicy dla artystów polskich. I rzeczywiście — prześliczne wysokie brzegi, ruiny zamku, wyżej baszta strażnicza dobrze zachowana —dalej klasztor Reformatów i inne kościoły na wzgórzach, prześliczne domy w starym rynku renesansowe z czasów potęgi Polski, gęste sady pełne owoców i bardzo piękne, stare spichrze na brzegu Wisły składają się na całość niezrównaną i wysoce malowniczą. To też Kazimierz, dziś mała osada, ma przyszłość przed sobą— ożywia się w lecie, nawiedzany przez licznych turystów, dłużej lub krócej tu zostających. A przeszłość tego zubożałego miasteczka była niegdyś świetną, Zbudował gród Kazimierz Wielki,chcąc założyć tu port handlo-



Kościół farny w Kazimierzu.

wy na miejscu małej wioski, należącej do zakonnic Norbertanek, i nazwał go swojem imieniem. Wzniósł na szczycie wzgórza, dominującego nad miastem, zamczysko obronne, a wyżej pojedyńczą strażnicę wysoką, co miała służyć podobno i za latarnię dla płynących po Wiśle statków. A mądre były plany króla, bo chciał on do jednego punktu ściągnąć płody ziemne, by stąd naturalnym gościńcem — Wisłą, spławiać je na fale Baltyku. Szła więc do nowego portu pszenica Sandomierska, szło zboże całej Małopolski, a i od Rusi żyznej ciągnęły tabory, ładowane wschodniemi towarami. Umiał król — ten wielki budowniczy murowanej Polski, połączyć piękność położenia ze znaczeniem handlowem, i dzieło jego pomyślnie się rozwijało. Miasto zbogacało się, rozłożyło się podłużnie wzdłuż rzeki, nad którą stanął szereg spichlerzy ogromnych, a ładnie zbudowanych i dziś jeszcze imponujących swą strukturą. Miasto ciągle się podnosi i dochodzi do rozkwitu największego za dwóch pierwszych Zygmuntów. Straszne wojny szwedzkie podkopały dobrobyt miasta, a od nich Kazimierz zaczął coraz więcej upadać i nie podniósł się już pomimo późniejszych niejakich prób. Nawet Wisła odeszła od miasta i statki nie podpływają już po ładunek ku opuszczonym spichrzom. Dziś to drzemiąca osada. Opatrzmyż choć pobieżnie zabytki przeszłości.

Już przy wjeździe zwraca uwagę turysty swą piękną strukturą stojący na wzgórzu kościół farny. Kościół stawiany w stylu późniejszego renesansu, a napis w kościele opiewa, że budował go Jacobus Balin italius murarius Lublinensis faciebat A. D. 1613.

Po wyjściu z kościoła, stromą ścieżką podnosimy się w górę ku ruinom zamczyska, dominującego nad miastem. Zamek nie był obszerny, mieścił tylko cztery izby na dole i tyleż na górze.

Po wyjściu z kościoła farnego schodzimy na rynek, gdzie zwracają naszą uwagę dwa stare domy średniowieczne — ciekawe zabytki stylu renesansowego z czasów panowania króla Zygmunta III. Domy te były zbudowane z podcieniami na trzech arkadach, lecz te są obecnie zamurowane. Pierwsza z tych kamienic była własnością bogatego patrycjusza Kazimierskiego, Mikołaja Przybyły, i dlatego frontową ścianę zdobi obraz św. Mikołaja. Rok 1625 wskazuje datę powstania tego domu. Oprócz bogatej ornamentyki przy futrynach okien, drzwi i gzymsów, widzimy tu jeszcze wizerunki czterech ewangelistów, oraz św. Jakóba i Tomasza, nad gzymsem zaś parteru na szerokości fryzu przedstawione są sceny z życia zwierząt. Obok stojąca kamienica nazywa się „pod św. Krzysztofem", gdyż znaczną część frontowej ściany pokrywa olbrzymia postać tego świętego. Szata jego krótka, nogi zanurzone w wodzie. Ryby i raki igrają w lekko zmarszczonych falach. Święty podpiera się całem drzewem, a na ramieniu niesie przez wodę małe dzieciątko. Trochę obrazów z mitologji i garść sentencyj z Seneki dopełniają całości frontonu. Dowodzi to znacznego poloru i kultury humanistów u owego mieszczanina Kazimierskiego, który był właścielem tej kamienicy.

Ks. Izabela z Flemingów Czartoryska, z wysoce wyrobionym gustem artystycznym, gromadziła w Puławach piękne bardzo zbiory, dla których pomieszczenia nadworny budowniczy, Piotr Aegner, wystawił budynek w r. 1800, głośną świątynię Sybilli. A później dodano jeszcze również w parku domek gotycki.

Osobisty skład dworu był liczny i dobrany. Należeli do niego poeci Kniaźnin, Karpiński, Woronicz, filolog Groddeck, komedjopisarz Zabłocki, zasłużony członek komisji edukacyjnej, ks. Piramowicz. Niemcewicz pisze tu pamiętniki, śpiewy historyczne; bibljoteką zarządzał Łukasz Gołębiowski, później Karol Sienkiewicz. Nic więc dziwnego, iż wpływ swój wywierały Puławy i przez ruch literacki. Poeci i pisarze tu wymienieni pracami swojemi budzili uśpiony duch współczesnej szlachty, teatr dworski wystawiał Matkę Spartankę lub tendencyjne komedje samego księcia, a księżna sama też często imała się pióra, jak również i jej córka, ks. Marja Wirtemberska, autorka powieści „Malwina."

Po roku 1830 zbiory z Puław wywiezione zostały za granicę i dały początek tak znanemu i bogatemu Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie. Pałac i park, pozostawione bez opieki, chyliły się ku upadkowi. Dopiero w roku 1844 został ufundowany tutaj t. zw. Instytut Maryjski, który w roku 1862 przeniesiono do Warszawy. W Puławach zaś otworzono staraniem margrabiego Wielopolskiego szkołę politechniczną z oddziałem rolniczo-leśnym. W roku zaś 1869 otworzony został rządowy Instytut gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa, który jako instytucja rusyfikacyjna wielkiego miru w społeczeństwie nie miał. Lecz i to minęło, i dziś Puławy mają możność znów stać się ośrodkiem cywilizacyjnym, choć opartym na innych podstawach.

Za parkiem, tuż przy drodze do wsi Włostowic, widać wdzięczny pałacyk o klasycznym wyglądzie. To pałac, zwany Marynki. Było to bowiem mieszkanie ks. Marji Wirtemberskiej. Znajdowała się tam piękna sala z artystycznym plafonem. Obecnie wnętrze pałacu zostało przerobione.

Piękny park stanowi ulubione miejsce spacerowe. Olbrzymie drzewa, jak naprzykład lipa przy świątyni Sybilli, imponują swojemi wymiarami. Długa aleja lipowa o ogromnych konarach prowadzi do mostku na t. zw. „Dolną górę." Po drugiej stronie drogi widzimy oranżerję, zbudowaną w stylu pseudo klasycznym. Za nią ciągną się sady owocowe i ogrody warzywne. Kręta ścieżka, tarasami schodząca, prowadzi od świątyni Sybilli ku łasze, za którą leżąca kępa służyła do sielankowych zabaw dworu puławskiego.

Lecz opuszczamy i urocze Puławy. Płyniemy dalej, zatrzymujemy się w rozmaitych punktach na małych stacjach. Wkrótce ukazują się dwie wieże zamku w Czersku — niegdyś stolicy księstwa starszego od Warszawy. Statek nie za trzymuje się jednak tutaj. Wisła zaczyna mieć brzegi nieźle uregulowane i wkrótce lądujemy u stolicy naszej, syci tylu dodatnich wrażeń w pięknej podróży naszej od Tyńca do Warszawy.

Część II.

Od Warszawy do Gdańska

Po odbyciu podróży od Tyńca do Warszawy, zacząłem myśleć nad planem podróży do Gdańska — naszym szlakiem wodnym. Nie było to tak łatwe, gdyż komunikacji bezpośredniej statkami do Gdańska nie było. Skorzystałem więc skwapliwie ze rzadkiej sposobności, jaka się nadarzyła, że mianowicie nasze ruchliwe Towarzystwo Krajoznawcze zorganizowało specjalną wycieczkę do Gdańska dla swoich członków, i dnia 9-go lipca 1914 roku wsiadłem przed wieczorem na statek.

Oprócz chęci poznania Wisły i jej brzegów, miałem jeszcze inny cel— czysto artystyczny, a specjalny... Przed paru laty, podczas pobytu mego w „królewskim grodzie", jak Lwów dawniej nazywano, w archiwum miejskiem wyszukałem plan współczesny, choć schematyczny, oraz opis zwycięskiego ataku floty polskiej na statki szwedzkie, stoczonego na morzu w zatoce Gdańskiej.

Jak wskazywał rysunek miejscowości, odbyło się to na morzu w okolicach Oliwy, słynnego opactwa Cystersów, sprowadzonych przez książąt Pomorskich w XII wieku, a przylądkiem Hela, zamykającym zatokę od strony północno-zachodniej. Powziąłem niezłomny zamiar wydobycia tego faktu historycznego z pyłu wieków, bo sam się żywo zainteresowałem krótkiemi, niestety, dziejami marynarki polskiej. Jechałem więc zebrać odpowiednie materjały do przyszłej mojej kompozycji, a mianowicie— porobić studja morskie, oraz w tak zwanym Artushofie, obecnie giełdzie kupieckiej, obejrzeć modele dawnych statków, przechowywanych z pietyzmem przez rajców bogatego miasta portowego.

Horoskopy na początku podróży były jednak niewesołe. Ciężkie ołowiane chmury zawisły nad horyzontem. Wiatr wzmagał się coraz więcej i zaczynał co-

raz silniej miotać girlandami i lampionami, w jakie przystrojono nasz „Włocławek“. Nastąpiła jednak pora odejścia statku; ostatnie przeciągłe gwizdnięcie, ostatnie pożegnanie odprowadzających, odrzucenie pomostu — i jesteśmy na środku Wisły. Załopotały żywiej koła parowca, i raźno posuwaliśmy się obok roztaczającej się w światłach wieczornych malowniczej panoramy Starego Miasta— dalej cytadeli, potem głośnego dziś lasku młocińskiego— nareszcie Bielan.

Wiatr jednak nie ustawał; ukośny, zimny, jesienny deszcz zaczynał smagać na dobre i spędzał podróżnych do ciasnej, niewygodnej kajuty.

Ułożyłem się jako tako do snu na wąskiej ławeczce, przeznaczonej dla panów — w dziobie statku. Naraz około północy gwałtowne uderzenie o jakiś przedmiot twardy obudziło mnie z drzemki. Zerwałem się na równe nogi i instynktownie rzuciłem się ku wyjściu na pokład. Nie było to wcale łatwem, gdyż musiałem wymijać i przeskakiwać przez stosy nagromadzonych tobołków i przez skulone ciała moich towarzyszy podróży. Wydobyłem się nareszcie do góry... Ciemna, dantejska noc! Wicher aż przechylał statek, który, gwiżdżąc, zatrzymał się i wysłał łódź ratunkową. Z dołu rzeki zbliżył się drugi statek pasażerski i, krwawo błyskając ogniami, odbijającemi się w wodzie, zatoczył półkole i wyłowił rozbitków. Byli to właściciele galary, naładowanej dachówką i stojącej na kotwicy, a wbrew przepisom nie oświetlonej latarniami, co było powodem wypadku. Rozbitki zziębnięci, w jednej bieliźnie, przestraszeni, przeszli na nasz statek. Stało się to pod Czerwińskiem, i, płynąc w tamtę stronę, wysadziliśmy ich na brzeg, żeby w dzień mogli coś przedsięwziąć dla wyratowania swej galary.

Nad ranem o 5-ej stanęliśmy pod Płockiem, przed zamkniętym mostem pływającym — w oczekiwaniu, aż go otworzą, aby nas przepuścić. Czasu było dosyć, aby zwiedzić starożytną katedrę o dwóch wieżach, dominującą nad wysokim brzegiem rzeki. Wobec jednak ciągłego błota i deszczu niewielu znalazło się odważnych, którzy wysiedli na brzeg.

O godzinie dziesiątej zrana przybiliśmy do przystani we Włocławku. Tu nas powitali delegaci Włocławskiego Towarzystwa Krajoznawczego, a zarazem gospodarze wycieczki, gdyż oni to zaprojektowali tę podróż, a warszawiacy przyłączyli się do nich w charakterze gości. Zaprowadzono nas do klubu wioślarskiego, wręczono znaczki wycieczkowe i... posypały się mowy, narady, plany, które zresztą potem ciągle zmienialiśmy.

Włocławek więc był punktem zbornym.

Po bardzo pobieżnem obejrzeniu miasta, bo czasu już nie było, odbiliśmy od przystani o godzinie dwunastej, już we dwa statki, mając na pokładach blizko stu osiemdziesięciu turystów.

Brzegi Wisły zaczynają być coraz bardziej malownicze; mijamy Bobrowniki, starożytną osadę kresową, po której pozostały dziś jedynie ruiny obronnego zamku.

Żegluga dalsza na Wiśle, pomimo wichury, zrywającej kapelusze z głów, była zajmująca, a nawet przyjemna, bo ten sam wicher, lecąc z dalekich pól

i łąk, odświeżał płuca i nerwy, zmęczone gwarem miejskiego życia, i dodawał energji do wytrwania w trudach.

Fale radowały oczy, pędząc szumnemi zwałami, oraz mieniąc się barwą i kształtem, a brzegi, okryte soczystą zielenią, przykuwały wzrok to w jedną, to w drugą stronę. Zdala podziwialiśmy na wysokiem wzgórzu ruiny Raciążka i wznoszącą się wśród murów starożytną wieżę kościelną.

Niezadługo zatrzymaliśmy się w Nieszawie, poczem wkrótce przybyliśmy do Czerwonego Krzyża. Tu wręczono nam „półpaski".

Dobrze po południu stanęliśmy w Szylnie — na granicy pruskiej.

Po dość długiem oczekiwaniu ukazały się nareszcie uroczyście pikelhauby pruskie. Zaczęło się od tego, iż zaaresztowano wszystkie aparaty fotograficzne. Wszelkie reklamacje, naturalnie, na nic się nie zdały, a czasu straciliśmy dużo. Oprócz tego — zatarg z restauratorem, któremu wszystkie żywe kaczki i kury, jakie zabrał na zapas, tak wysoko oclono, iż, rwąc włosy, miał zamiar wrzucić spiżarnię krzyczącą do wody.

To była próbka gościnności pruskiej.

Płynęliśmy jednak dalej. Wisła zmieniła swój wygląd, bo na każdym kroku widać ogrom pracy, włożonej celem ujęcia w karby kapryśnej rzeki. Co kilkanaście metrów, w równych odstępach, zbudowano kamienne przyczółki, wysunięte w rzekę, o które rozbija się wiosną lód, nie odrywając ziemi. Brzegi wysadzone gęstą wikliną, która zalega na dziesiątki km. bez przerwy, utrwalając je i broniąc od wody. Podobno miljony, wkładane w uregulowanie brzegów, wracają się Niemcom w trzy lata. Godna to podziwu wzorowa gospodarka, trzeba to przyznać; szkoda tylko, że ta równa, gęsta wiklina ani jedną gałązką nie śmie wybujać ponad inne — wszystko pod jeden strychulec. To zamiłowanie do strychulca jest wysoce charakterystyczne, a dla artysty nieco nudne.

Z powodu opóźnienia na granicy w Szylnie, przybyliśmy do Torunia po siódmej wieczorem, zamiast o czwartej. Z pięknych planów, jakie układaliśmy we Włocławku, nic nie pozostało; zwracaliśmy uwagę miejscowej ludności bezładnem błąkaniem się po ulicach. Trzeba było temu zaradzić. Umówiliśmy się, iż wszyscy spotkamy się o dziewiątej na kolacji w polskim hotelu „Muzeum", podzieliliśmy się na grupy i udaliśmy się zwiedzać rodzinny gród naszego wielkiego Kopernika.

Styl ratusza toruńskiego nie jest jednolity. Przeważa gotyk, ale miesza się renesans. Główna wieża, przeszło sto stóp wysoka, ma łuki i nisze gotyckie; ale cztery małe, ośmiokątne, narożne wieżyczki mają łuki romańskie. Dzielą się na dwa pięterka, zwężające się ku górze. Parter zajmują sklepy, z tych jeden całe swe sklepienie opiera na jednym słupie, stojącym w środku. Kurytarz zdobią herby szlachty pomorskiej i obywateli toruńskich.

Obejrzawszy ratusz, podeszliśmy do pomnika Kopernika, wzniesionego przed ratuszem.

Wielki astronom stoi w szacie fałdzistej średniowiecznych uczonych; jedną jej połę zarzucił na lewą rękę, w której trzyma astrolabium, prawą ręką

wskazuje niebo. Napis opiewa: „Nicolaus Kopernicus Thorunensis. Terrae motor, solis coelique stator.“

Od pomnika oko bieży w dół, przez ulicę Żeglarską aż do Wisły, ale po chwili musi się zatrzymać na olbrzymich murach kościoła św. Jana.

Najstarsza to podobno świątynia chrześcijańska w Toruniu z wieku XIII, a rozmaite przystawki i przebudówki czynią wrażenie niejednolitości i psują nieco ten piękny zabytek starożytnego stylu. Wnętrze kościoła, imponującej wysokości, podzielone na trzy nawy, przechowuje w sobie wiele pamiątek historycznych, z których najważniejsze dla nas, Polaków, są dwie: nagrobek Jana Olbrachta, oraz obraz, przedstawiający Kopernika, modlącego się pod krzyżem; obraz ten ufundował około r. 1560 Melchior Pyrnesius, lekarz toruński.

Kościół Panny Marji, największy, podobno, w Toruniu, ciąży ogromem i brakiem ozdób. Zato wewnątrz imponuje wysokością wszystkich trzech swoich naw. Rozdzielające je wysmukłe filary lekko biegną wzwyż, a delikatne żebrowania łuków wiążą się wdzięcznie z chórem, unoszącym bogato rzeźbione organy. Kolorowe witraże roboty nowożytnej przedstawiają Zwiastowanie z prorokiem Izajaszem i św. Janem Chrzcicielem po bokach.

W kościele Panny Marji pełno tablic i nagrobków. Najwspanialszy, w osobnej, czarnym marmurem wyłożonej, kaplicy, grobowiec Anny Wazówny. Posąg księżniczki z białego marmuru w charakterystycznym stroju panujących z owej epoki spoczywa na czarnej, marmurowej trumnie.

Obok świątyni ostrołukowy mur z arkadami w stylu Odrodzenia zawierać ma prochy znaczniejszych obywateli miasta z XVI-go wieku.

Trzeciego kościoła, św. Jakóba, z powodu restaurowania, nie mogliśmy oglądać wewnątrz ani w pierwszej, ani w powrotnej bytności. Nazewnątrz świątynia imponuje swojemi pięknemi wieżyczkami.

Noc już zapadła, gdy oglądaliśmy pochyłą wieżę, jedną z wielu, rozstawionych niegdyś wśród podwójnego muru, broniącego Torunia od strony Wisły.

Po drodze zwaliska kilku ciekawych starożytnych kamienic, o wysokich dachach i bogatem zdobnictwie, oznaczone rozmaitemi godłami. A wszędzie, tak przy starych, jak i nowych domach, balkony pięknie przystrojone kwieciem i zielenią.

Szkoda, że w Warszawie podobna moda nie przyjmuje się, gdyż te kwiaty na balkonach bardzo zdobią domy *).

Wieczór zeszedł nam na wspólnej wieczerzy w hotelu „Muzeum“, w wielkiej sali, ozdobionej malowanemi na ścianach widokami miast Poznania, Krakowa, Warszawy, Torunia.

O późnej już godzinie zwiedziliśmy, specjalnie dla nas oświetlone, Polskie Muzeum Toruńskie, założone w r. 1875 przez Towarzystwo Naukowe, mające na celu zbieranie i przechowywanie zabytków w Księstwie i Prusach Zachodnich, oraz pielęgnowanie nauk i umiejętności w języku polskim.

---

*) Przyp. późn.: Moda ozdabiania balkonów kwiatami przyjęła się również i w Warszawie.

Zbiory niezbyt duże, ale są zabytki ciekawe.

Nazajutrz, wcześnie ruszyliśmy w dalszą drogę w weselszem już usposobieniu.

Płynęliśmy szybko z biegiem wody, podziwiając regulację Wisły, nie narażającej nas na żadne niespodzianki; każdy najdrobniejszy kawałeczek brzegu jest tam zużytkowany. Wszędzie ład i porządek, a wraz z niemi i dobrobyt. Przewijały się jedne za drugiemi dostatnie gospodarstwa, fermy, folwarki, dwory i osady.

Mijamy na dziesięciu pagórkach malowniczo położone Chełmno, z ostremi zarysami starożytnych gmachów i kościołów, dalej Świecie, nareszcie dopływamy do Grudziądza, miasta o średniowiecznym wyglądzie.

Na bardzo stromym, zielonością pokrytym brzegu Wisły, wznoszą się stare, czerwonawe szczyty domów, nad któremi górują fantazyjne zarysy zamczyska z wyniosłą basztą. Czerwone, omszałe mury, na tle ciężkich chmur, nabierały jakiegoś silnego, choć stłumionego kolorytu. Wydaje się, jakby cały krajobraz był pyłem wieków zasnuty.

Lądujemy... Gdzież droga do tego dziwnego grodu? Wejście równie fantastyczne, jak i cały widok, — szare, murowane, pełne zakrętów schody prowadzą na górę. Otwieramy małe drzwiczki do jakiegoś ponurego budynku, w którym błyszczy przez otwór światło dzienne.

Wchodzimy i... czar prysnął; znajdujemy się na ulicach ładnego, ale już nie tak dziwacznego miasta. Staramy się dowiedzieć o drogę na zamek. Na dźwięk mowy polskiej zaczynają nas otaczać twarze o sympatycznym, rozradowanym uśmiechu. Byli to Polacy-robotnicy, którzy ofiarowali się oprowadzić nas po mieście.

Pytamy o „Gazetę Grudziądzką“ — zdaje się, jedyny dziennik polski, mający około siedemdziesięciu tysięcy prenumeratorów. Jeden z naszych towarzyszy, zecer, jak się okazało, biegnie do drukarni i przynosi kilka egzemplarzy pisma, za które nie chce przyjąć zapłaty.

Oglądamy zamek, bezdenną starą studnię na górze, szerokie horyzonty nad Wisłą i jej wybrzeża i pędem biegniemy do statków, z żalem żegnając się ze współziomkami, licznie zebranymi na brzegu. Rozlegają się pieśni z brzegu, powiewają na pożegnanie chustki i kapelusze, dolatują serdeczne słowa pożegnania.

Płyniemy dalej...

Mijamy piękny most około Kwidzynia, dalej miasto Gniew i — skręcamy do Nogatu.

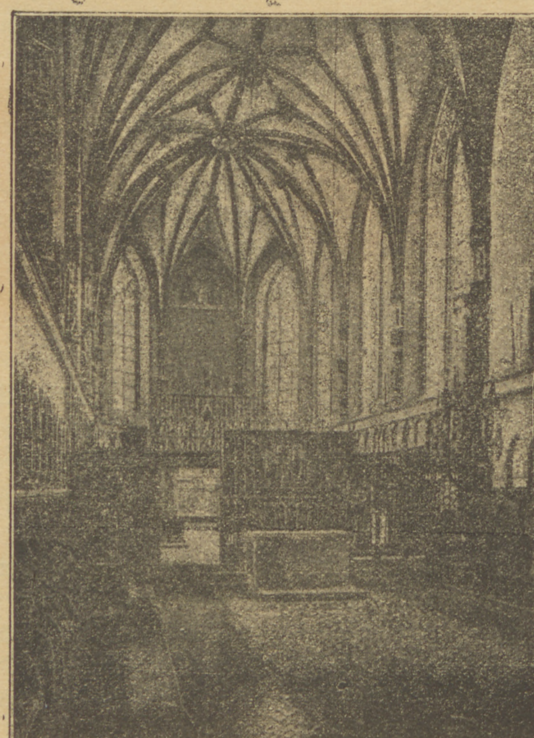
Wkrótce zarysowują się przed nami potężne zarysy poczerniałych od starości murów Malborga, i wkrótce lądujemy w tej groźnej ongi stolicy krzyżackiej.

Siedlisko dawnych wrogów naszych, Krzyżaków, zwraca myśl w wieki średnie.

Malborg powstał około roku 1276. Najstarszą część Malborga, tak zwany Hohenschloss (Wysoki Zamek), wykończono w roku 1280, jako siedzibę dla dwunastu tych rycerzy zakonnych.

Pierwotnie bowiem, Herman von Salza, przybywszy do ziemi polskiej, zamieszkał w wystawionym mu przez Konrada Mazowieckiego zamku Nieszawskim.

W Malborgu osiedlił się Henryk von Wilnowa, jako mistrz mniejszy, również jak następnie jemu podobni w Chełmnie, Toruniu, Elblągu. Dopiero później znacznie, po ostatecznem wyparciu Krzyżaków z Azji, wielki mistrz — Sigfrid von Feuchtenwagen w roku 1309 opuścił Wenecję i osiadł na stałe w Malborgu, fundując zarazem konwent dla siedemdziesięciu rycerzy tego zakonu. Wówczas



Kaplica zamkowa w Malborgu.

rozszerzono znacznie już istniejącą część zamku i przystąpiono do budowy t. zw. średniego zamku, który był właściwem miejscem zamieszkania wielkiego komtura.

Od tego czasu zaczęło się bezwzględne tępienie żywiołu słowiańskiego, i jawnie wyciągnęła się groźna ich, żelazem okuta prawica ku Polsce i Litwie. Na tym to zamku rycerze, przysięgając na czystość, ubóstwo i posłuszeństwo, prowadzili żywot rozpasany i zaznaczyli się okrucieństwem.

Tu więzili rycerskiego Kiejstuta i tutaj prowadzili układy z Witoldem, zakończone morderstwem jego synów, wziętych w zakład, bohaterską walką Polski i Litwy pod Grunwaldem i przejściem zamku pod władzę Polski.

Ale wejdźmy pod świeżo odnowione sklepienia malborskie.

Zamek dzieli się, jak już mówiliśmy, na Wysoki i Wewnętrzny (Mittelschloss). Łączy je most zwodzony.

Na podwórzu środkowem — studnia starodawna z wiadrami, spiętemi łańcuchem, pod nakryciem. Portyki kryją systematycznie poukładane pod ścianami odłamy starych rzeźb i sztukateryj, w części może przywodzących niemiłe wspomnienie dla odnowicieli. Wspaniałe krużganki prowadzą do licznych, wielkich i wysokich sal. Są tu izby do prywatnego użytku wielkiego mistrza; drzwi bogato rzeźbione prowadzą do sali przyjęć, wspartej na granitowych filarach, ozdobionej witrażami nowyżytnemi, przedstawiającemi dzieje zakonu, w sposób oczywiście pochlebny.

Wokoło stalle rzeźbione, na ścianie pod paradnem siedzeniem portrety wielkich mistrzów naturalnej wielkości.

W drugiej sali przyjęć, wspaniale sklepionej na jednym olbrzymim filarze, pokazują w ścianie kulę, pozostałą tu z roku 1412, z czasu oblężenia Malborga przez Jagiełłę. Kulą tą, wycelowaną przez okno, chciano strzaskać ów jedyny filar i zagrzebać w gruzach obradujących tu dygnitarzy krzyżackich. Pocisk jednak o kilka cali przeszedł koło filaru i utkwił w przeciwległej ścianie. Ta kula Jagiełły jest bodaj jedyną obecnie polską pamiątką w Malborgu, gdyż przy restaurowaniu starano się usilnie usunąć wszelkie ślady panowania Polaków. Zniszczono więc pamiątkowe napisy, sztukaterje Jagiellonów i Wazów; nie pozostało nic z bogatego portyku z herbami Polski i Litwy, który wiódł do sal posiedzeń wielkich mistrzów, służącej następnie za salę tronową królom polskim...

Sale mówią o strojnem i hucznem, a olbrzymie kuchnie, kotły i rożny o dostatniem i wygodnem życiu rycerzy-mnichów.

Kościół zamkowy jest pod wezwaniem Najświętszej Marji Panny. W środku kościoła wisi starożytny żyrandol. Przegrodzenie ażurowe dzieli kościół na dwie części, prawdopodobnie przez uczucie mniszej pokory, aby wyższych ustrzec od zbytniego zbliżenia się do niższych braci. W tej drugiej części, nawprost ołtarza, chór z organami, pod niemi ambona. Z boku otwory w ścianie do cel pokutnych, aby i ukarani samotnem zamknięciem bracia mogli widzieć wielki ołtarz...

Wyszliśmy wreszcie z pod sklepionych murów i zrócili ku dworcowi, aby stąd dla pośpiechu koleją dojechać do Gdańska.

Mając jednak sporo czasu do odejścia pociągu, wzięliśmy dorożkarza, aby nas obwiózł po mieście i wskazał ważniejsze jego osobliwości.

Odwróciliśmy się jeszcze w pojeździe, aby mieć wyobrażenie o całości. Front zamku zdobi olbrzymia, jaskrawa mozajka, wyobrażająca Matkę Boską z Dzieciątkiem, która miała niby błogosławić wyruszających na wyprawę Krzyżaków.

Miasto samo niezbyt obszerne i nie zajmujące. Gdzieniegdzie stare domy, jakiś fronton rzeźbiony. Miłą jest czystość, wszędzie balkony ukwiecone. Wtem, niespodzianie, wpada kilka drobnych kamyków do naszej dorożki. To łobuzy uliczne w ten sposób uczciły obych wędrowców w Malborgu.

W tem gnieździe krzyżackiem nie mogą nam dotąd jeszcze darować zwycięstwa pod Grunwaldem; uczestników wycieczki, głośno mówiących po polsku na ulicach miasta, spotykano ordynarnemi wymysłami i zaczepkami.

Syci więc tych „sympatycznych“ wrażeń Malborga, opuściliśmy wieczorem złowrogie dla nas miasto i o godz. 9-ej przybyliśmy do Gdańska.

Powitał nas na dworcu zacny doktór W. i kilku studentów-Polaków, którzy przygotowali już dla nas w hotelach schronisko i tam nas porozmieszczali.

Nazajutrz pierwsze kroki nasze skierowaliśmy do najstarszego z kościołów, chluby i ozdoby miasta, imponującego kościoła Panny Marji (Mariakirche), którego budowę zaczęto w roku 1343-cim, a ukończono w roku 1502-gim.

Udając się w nocy na spoczynek do hotelu, widzieliśmy pobieżnie zarysy katedry Marjackiej z jej wyniosłą, szeroką wieżą, zwaną tu popularnie „grubą Maryśką“. Gmachy, widziane w pomroce wieczornej, zyskują na rozmiarach i przybierają jakieś fantastyczne kształty; lękałem się więc, aby katedra dzisiaj — w dzień widziana, nie straciła na potędze; przecież taki jest jej ogrom, że nawet w świetle porannej godziny nie drobnieje, ale też i w najweselszem słońcu nie zdoła się rozweselić. Tę ponurość sprawia zupełny brak ozdób na zewnątrz. Mury ponad dachem wycięte są w zęby trójkątne, a tych brzegi znowu wycięte w mniejsze ząbki; zresztą wysokie aż do przerażenia, obnażone aż do zasmucenia ściany chmurzą się ową barwą, tak cenioną przez znawców, bo tylko pendzel wieków może ją nadać — barwą ciemno-czerwoną, która przypomina tła wazonów etruskich.

Nie jest to ów gotyk przejrzysty, nadpowietrzny, pieszczony, przez którego misterną robotę widzisz lazur nieba.

Świątynia zbudowana w tak zwanym wiślano-baltyckim gotyckim stylu, a jest to pewna odmiana gotyku.

Gdańszczanie z dumą opowiadają, że ich kościół co do wielkości jest piątym w chrześcijaństwie; nie wiem, o ile twierdzenie ich jest prawdziwe, ale to pewne, że wysokością i szerokością przechodzi Notre-Dame de Paris, co nie mało znaczy. Świątynia może pomieścić dwadzieścia cztery tysiące ludzi. Ma ona sto pięć metrów długości, a szerokości sześćdziesiąt sześć, w wyższej zaś części trzydzieści pięć.

Wnętrze czyni także wrażenie wspaniałe, tem wspanialsze, że wszystkie trzy nawy są równej wysokości; prócz nich, po bokach, widzimy trzydzieści bogatych kaplic, niby powprawianych wkoło świątyni, jak klejnoty wkoło mszalnego kielicha; wszystkie prawie kolejno stawiane są przez możniejsze rodziny miejscowe.

O ile katedra na zewnątrz trzyma się w lodowatej jednostajności, o tyle wnętrze jej przepełniło się bogactwem. Pomimo, iż kościół przerobiono na protestancki, nowi wyznawcy, przez uszanowanie dla przeszłości, zachowali wielką część przyozdobień; i dziś jeszcze trudnoby wyliczyć mnogość posążków, chorągwi i arabesków, jakie wędrowiec odkrywa na stallach, filarach, w najmniejszym zakątku.

Najbardziej olśniewającym jest przystrój wielkiego ołtarza; nieraz pewnie widzieliście i podziwialiście monstrancje, dźwigające kościołek ze złotego filigranu, w którym rozstawione figurki zachwycają wykończeniem. Otóż takie pieścidełko złotnicze, powiększone do rozmiarów całej wysokiej ściany, najwierniej wyobraża ową ozdobę, której wielki ołtarz tworzy podstawę; jest to jakby kilkopiętrowa fasada, wyżłobiona w kapliczki, nisze i ganki — wszystko złotem nakrapiane. Na każdym ganku, w każdej kapliczce stoją całe zastępy świętych i aniołów, także od stóp do głowy błyszczących, zbrojnych w złote palmy i złote harfy. Ołtarz ten, przedstawiający koronację Matki Boskiej, jest dziełem mistrza augsburskiego, Michała Szwarca.

W zakrystji pokazywano nam stosy dawnych ornatów, kielichy, kosztowności i różne sprzęty kościelne, starannie przechowywane. Jedna z kap uszyta ze wschodniej makaty, z arabskim napisem z XII w., opiewającym sławę i mądrość sułtana Nazr-el-Edina. Posadzkę tworzą same niemal płyty grobowe. Największą osobliwością tego kościoła, a dumą Gdańszczan, jest obraz: „Sąd ostateczny“— tryptyk umieszczony w jednej z kaplic bocznych. Twórcą tego dzieła był jeden z pierwszorzędnych artystów-mistrzów średniowiecznych. Oceniają go obecnie na dwa miljony marek. Malowidło to miał zdobyć na Holendrach, wiozących je do Rzymu, korsarz, Paweł Beneke, i ofiarował Gdańszczanom. Obraz przechodził jeszcze rozmaite koleje. Chciał go zabrać Rudolf II, potem pragnęli go kupić August III i Piotr Wielki. Wreszcie, w czasie zajęcia miasta przez Francuzów, zabrał obraz do Francji Napoleon wraz z innemi dziełami sztuki. Pokój paryski jednak zwrócił miastu dzieło Memlinga.

W drugiej kaplicy znajduje się piękny tryptyk Wita Stwosza. Rzeźba kolorowana, przedstawiająca sceny z życia Matki Boskiej.

Dalej, podług naszego zdania, najpiękniejszym zabytkiem tego kościoła jest krucyfiks z Chrystusem, naturalnej niemal wielkości, o wyrazie wielkiego cierpienia, przenikającego patrzących bolesnym dreszczem.

Wogóle kościół Marjacki obfituje w podania; pokazują tu zasuszoną rękę ojcobójcy, która ciągle wystawała z grobu; jest tu też bochenek chleba skamieniałego, którego jakoby odmówił biednej, zgłodniałej kobiecie jakiś zamożny człowiek.

Do ciekawych a pięknych zabytków tegoż kościoła należą wspaniałe organy, pięknie rzeźbiona bronzowa chrzcielnica, oraz olbrzymi zegar z XV wieku, robiony w Norymberdze, — obecnie zepsuty; niegdyś za każdem uderzeniem godziny wychodziły figury, które przedstawiały sceny biblijne.

Szpeci kościół nietylko dla katolików, ale i dla miłujących piękno protestantów, olbrzymi, ciężki, z białego marmuru pomnik Marcina Lutra, psujący tu nastrój całości — kościół bowiem, pomimo swej obecnej przynależności do protestantów, zachował swój pierwotny charakter.

Za Kazimierza Jagiellończyka, w 1524 r., kościół Marjacki został przeznaczony na katedrę dla sufragana pomorskiego. Ale już w roku 1572 zajęli go protestanci.

Czas jakiś odprawiały się tu nabożeństwa w obu obrządkach, pod patronatem królów polskich, jako kolatorów katedry. Mieszczanie jednak gdańscy starali się ciągle o odebranie zupełne kościoła katolikom. Osiągnęli wreszcie cel upragniony w ostatnim roku życia Zygmunta Augusta.

Nareszcie, dla przecięcia sporów z coraz liczniejszymi protestantami Jan III Sobieski z prymasem Olszewskim zbudowali niedaleko kościoła tak zwaną „królewską kaplicę" dla katolików.

Ulice Gdańska odznaczają się wielką malowniczością z powodu swych wysokich, a bardzo wąskich, często dwuokiennych tylko domów, którym wiele charakteru dodają stare ganeczki czyli wystawki, obecnie już rzadko spotykane. Malowniczy Krahntor, zbudowany 1411 roku nad Motławą, skupiał niegdyś dokoła siebie całe życie handlowe miasta. Tu przybijały okręty z całego świata, wyładowywane olbrzymią windą (od której nazwa bramy), do szeregu imponujących rozmiarami i starością, okratowanych, jak więzienia, śpichrzy, których liczba dochodziła niegdyś do dwustu siedemdziesięciu. Piękne starożytne bramy zachowane są doskonale. Tak zwana Wysoka Brama—Hohes Tor z XVI wieku, ozdobiona jest Polskim Zygmuntowskim orłem, oraz drugim, mającym Ciołka na piersi, znać z czasów Poniatowskiego. U spodu wyryty napis: „justitia et pietas duo sunt regnorum omnium fundamenta". Niedaleko wznosi się świeżo restaurowany „Peinkammer", gmach tortur, w stylu Odrodzenia, z wieżą nakrytą i Stockturm, jedna z najstarszych budowli, datująca jeszcze z czasów krzyżackich i włączona niegdyś do ochronnych murów miasta.

Za główną starą bramą, zwaną Langgasse Tor, oczom naszym przedstawia się wspaniały starożytny ratusz z XVI wieku. Na jego wieży, dwieście sześćdziesiąt stóp wysokiej, błyszczy zdala posąg Zygmunta Augusta w koronie, z tarczą i chorągwią w ręku, Z przedsionka ratusza przepysznie rzeźbione, dębowe schody prowadzą do sali, gdzie zasiadał burmistrz miasta z panami radnymi; ściany w niej bogato wykładane drzewem, na sufitach freski, przedstawiające sceny z historji Gdańska.

Z ratusza kilka kroków do dworu Artusa, Artushofu, tak nazwanego przez pamięć króla angielskiego Artura i Rycerzy okrągłego stołu. Była to dawna resursa, oraz miejsce zebrań i uroczystości sześciu dawnych stowarzyszeń kupieckich Gdańska. Tu kupcy wystawiali próbki zboża swego na sprzedaż i obradowali nad ekonomicznemi sprawami. Gmach ten za czasu okupacji Francuzów zamieniony był na lazaret; obecnie stanowi on giełdę miejscową. Fasada w stylu gotyckim ma trzy ogromne ostrołukowo zakończone okna; nad frontonem renesansowym posągi Scypiona Afrykańskiego, Temistoklesa, Kamila i Judasza Machabeusza. Wnętrze gmachu przedstawia się bardzo interesująco: — spotykamy tam dokładne odbicie cywilizacji i obyczajów średniowiecza, oraz zabytek ówczesnej sztuki. Uwagę zwraca wysoki na dwanaście metrów piec majolikowy, którego każdy kafel przedstawia odrębną postać. Wspomniane rzeźby wprost przykuwają oczy; są one nieraz wstawione w obrazy, jako figury ludzkie, lub

zwierzęce. W ten sposób wykonany jest obraz, przedstawiający Djanę i Akteona, zamienionego w jelenia.

Z innych wartościowych dzieł sztuki wymienić należy: „Sąd ostateczny“ — obraz z XVIII wieku, wykonany przez Gdańszczanina Müllera, oraz ciekawe fryzy z historycznemi scenami; między innemi, Jagiełło oblegający Malborg, dalej — wjazd Kazimierza Jagiellończyka do Gdańska. Poniżej podpis niemiecki, gorąco sławiący króla i jego poszanowanie dla miasta, który świadczy, jak mile królowie polscy bywali tu widziani.

Wszędzie w salach wiszą staroświeckie zegary, żyrandole i modele dawnych statków. Modele te — są to obecnie jedyne pamiątki dziejów, niestety krótkotrwałych, dawnej marynarki polskiej, której doniosłość zrozumiał doskonale daleko widzący polityk, król Władysław IV.

Dzieje ojczyste świadczą o naszych dobrze znanych nam czynach na lądzie, ale daleko mniej wiemy o fakcie, że były chwile, acz krótko trwające, kiedy rozwijaliśmy politykę morską, a wtedy Bałtyk i morze Czarne nie były nam obce, bo staraliśmy się mieć znakomitą siłę morską. A i przyroda sama sprzyjała temu. Granice państwa naszego z obu stron sięgały morza. Ziemie nasze okrywały w znacznej przestrzeni wysmukłe sosny, cisy, świerki, modrzewie i wspaniałe dęby, któremi tyle wieków i teraz jeszcze obce wspieramy kraje, dostarczając im najokazalszych masztów i wszelkiego do budowy okrętów materjału.

Niestety nie zawsze umieliśmy doceniać znaczenie morza, a z naszych pięknych dębów i sosen inne narody budowały statki, rozwijały swoje floty i rosły w bogactwa, — a my traciliśmy po mału nasze znaczenie. To też dziś, gdy Nemezis dziejowa pozwoliła nam znowu dosięgnąć morza — tych płuc do oddechu pełną piersią dla państwa — nie popełniajmy omyłek przeszłości!!

Pamiętajmy o tem, iż w wiekopomnym dniu dziesiątym lutego, gdy wojska polskie objęły w posiadanie dawny nasz brzeg morski, a jenerał Haller, wódz naczelny sił zbrojnych na Pomorzu, odbył symboliczne zaślubiny Polski z morzem — kraj nasz stał się państwem nadmorskiem. O tem ani na chwilę nie powinniśmy zapominać! Prawda! psychika ludzka nie zmienia się tak prędko i od starszego pokolenia spodziewać się tak wiele nie należy. Dosyć, jeżeli ojcowie będą pamiętali, iż trzeba nam wychować nowe pokolenie Polaków, któreby znało morze, rozumiało je, walczyło z niem, kochało je. A wzamian za to morze zahartuje charaktery, zrobi je odważnemi, gotowemi do poświęceń, wytrwałemi, przedsiębiorczemi, pełnemi inicjatywy i umiejętności polegania na własnych siłach. Jeżeli te zalety charakteru podziwiamy w rasie anglo-saksońskiej, to pamiętajmy, że właśnie morze kształciło charaktery tych ludzi.

Mówiąc o dziejach naszej marynarki, wspomnieć wypada najpierw o panowaniu nad morzem (dominium maris) — stało się to bowiem w owych wiekach zapytaniem ważnem, zatrudniającem umysły; dalej — o handlu rzecznym i morskim, nakoniec o flocie wojennej i jej czynach.

Najpiękniejszym jednak domem i najstarszym w Kazimierzu jest przepiękna kamienica renesansowa przy ul. Senatorskiej. Bogate desenie i rzeźby zdobią każdy kawałek ściany, w pięknych, muszlowanych niszach stoją posągi świętych. Futryny okien bogato ozdobione w ornament roślinny. Attyka nad piętrem, przypominająca Sukiennice, lekko wznosi się do góry, a fantastyczne paszcze smoków zajadle otwierają się naprzeciw siebie. Niestety, z żalem się widzi, iż ten przepiękny budynek renesansowy z czasów potęgi Polski znajduje się w opłakanym stanie, zamieszkały przez biedaków i wymaga natychmiastowego ratunku.

Na przeciwległej górze od zamku — tak zwanej plebańskiej — mieści się klasztor i kościół dla OO. Reformatów, ufundowany przez prymasa Henryka Firleja. Jak zwykle kościoły OO. Reformatów, odznacza się i ten swoją prostotą i surowością. Za to godne są podziwu podziemia kościoła, w których przechowały się ciała pochowanych tutaj zakonników tutejszych. Ciekawa też jest i bogata bibljoteka poklasztorna.

Wychodzimy z klasztoru charakterystycznym, długim, krytym korytarzem i pniemy się na górę za klasztorem, skąd otwiera się prześliczny widok na miasto, zamek i basztę. Stoki zaś góry i pobrzeże do Wisły pokrywają owe słynne sady Kazimierskie.

Przewyborne węgierki tutejsze mają uznanie w całym kraju, a ponieważ delikatny ten owoc nie nadaje się do wywozu, w znacznej ilości więc ogromne masy suszą tu na miejscu w bardzo prymitywnych piecach, suszarniach, skąd korcami rozchodzi się po całym kraju. I to jest jeden jeszcze szczegół charakterystyczny pejzażu tutejszego — śród gęstych, zbitych w masę sadów ciągle się podnoszące w górę smugi niebieskiego dymu — to suszarnie owocowe pracują.

Na pożegnanie uroczego Kazimierza wchodzimy jeszcze na wzgórze około trzech krzyży, skąd u stóp naszych rozciąga się miasto, tonące w sadach, a obramowane piękną wstęgą Wisły.

Ruszamy statkiem, i tu zaczyna się proza. Pod samym prawie Kazimierzem Wisła rozlewa się płytko i utykamy na mieliźnie. Nie sposób przejechać tej ławicy piasku, jaka tu zwykle się tworzy w lecie. Na szczęście podpływa inny statek, na który przesiadamy i płyniemy dalej.

Droga ciągle ładna i wkrótce zbliżamy się do głośnej rezydencji książąt Czartoryskich, do Puław, które tak wielką rolę odegrały w historji kultury narodu polskiego.

Dwór ks. generała ziem podolskich w Puławach urządzony był na stopę iście monarszą. Wspaniały pałac, przepyszny park, rozrzucony na wzgórzu nad Wisłą, liczne oficyny dla ciągle przybywających gości, oranżerje, figarnie, rozmaite zabudowania gospodarcze, kuchnie, stajnie, wozownie, liczne zbiory dzieł sztuki, zabytków historycznych i różnych osobliwości, a nareszcie obszerna w pałacu bibljoteka stanowiły to środowisko życia inteligentnego w Puławach.

Panowanie nad morzem.

Aż do czasu Justyniana morze było wolnem dla wszystkich. Prawa dozwalały sądownie występować przeciwko tym, którzy tamowali swobodną żeglugę lub połów ryb komukolwiek.

Leon cesarz, pierwszy nadał wyłączny przywilej rybołówstwa posiadaczom brzegów, usuwając od tego dalsze ludy. Odtąd monarchowie zaczęli przywłaszczać sobie panowanie nad tym żywiołem.

Wenecja, chcąc okazać światu całemu, że Adrjatyk do niej jedynie należy wprowadziła zwyczaj zaślubiania morza.

W dzień Wniebowstąpienia z największą okazałością, odbywał się ten obrządek. Przy odgłosie dzwonów, muzyki, biciu z dział, najwyższy urzędnik Rzeczy Pospolitej czyli Doża z posłami zagranicznymi i patrjarchą wsiadał na przepyszny bogato ubrany statek Bucentaurem zwany i płynął ku wyspom Lido i S-te Erazmo; tam zatrzymawszy się, rzucał w wodę pierścień złoty mówiąc te słowa: „Zaślubiamy ciebie, morze, na znak rzeczywistego i wiecznego nad tobą panowania". Z upadkiem kraju ten obchód uroczysty, oczywiście, ustał.

Bałtyk przedstawia z siebie jakby morze wewnętrzne, naokoło którego rozsiedli się Duńczycy, Szwedzi i Polacy. Oczywiście musiała wyniknąć walka o Bałtyk, długa i ciągła, bo i potężna Hansa również zgłaszała się o swoje przywileje—w tej liczbie Gdańsk, jeden z filarów związku hanseatyckiego. Duńczycy, jako posiadacze Sundu i obu Bełtów, trzymając klucze do tego morza, mniemali że wszechwładnie rozkazywać tam mogą i powinni.

Silni zaś swoją flotą, a zajmując brzeg obszerny, Szwedzi wyższymi się czuli od tych, którzy zaniedbywali swoją potęgę morską. Nareszcie, jak powiedzieliśmy wyżej, Związek Hanseatycki, rozgałęziony szeroko, przywłaszczywszy sobie handel morski, pochłonąwszy bogactwa znanego świata, żywiąc i opatrując inne narody, rozkazywał tym ludom i panował nad niemi. Przedstawicielem potężnego Związku hanseatyckiego był na Bałtyk przedewszystkiem Gdańsk— i to dowodziło słuszności naszej sprawy: przewyższaliśmy Duńczyków i Szwedów rozległością krajów i siłą wewnętrzną — mieliśmy prawo do władania morzem, tem bardzej że byliśmy wtedy państwem nadmorskiem, tworzyliśmy floty, kiedy było potrzeba, i mieliśmy swoich admirałów.

Za Władysława IV oznaczeni przez niego komisarze: Jerzy Ossoliński, Denhof, Opat Oliwski, Spiryngowie i Jerzy Stefel, utworzywszy flotę, zjechali się w wiosce Radłów, niedaleko Gdańska, od którego doznawali ciągłych sprzeciwów, i tam brali w posiadanie morze w imieniu króla i narodu. Sześciu powozami, pod ochroną jazdy, udali się na brzeg, tam na wysokiem drzewcu wznieśli chorągiew białą i trzema wystrzałami armatniemi powitali okręty polskie zgromadzone przy brzegu.

Nie zaniechali i następni władcy, wzmacniania nadbrzeżnych stanowisk, zabezpieczania miejsca, gdzie zawijały okręty, sypiąc groble, stawiając latarnie morskie. Koło jeziora Owidiusza między Bohiem a Dniestrem, gdzie ta ostat-

nia rzeka w morze wpada, za czasów Sarnickiego jeszcze był widzialny mur na ołów składany, ciągnący się pół mili w morze. Tu Witold z szablą w ręku, na znak wszechwładności swej, skoczył konno w nurty morskie.

(Sarnicki. Descriptio Sarmatiae et annales Poloniae. Kraków, 1585).

Później Turcy zaczęli ścieśniać granice: za Zygmunta ojca i syna dzierżawy Polaków dochodziły jednak do Benderu czyli Techimu.

W Teodozji inaczej Kaffą zwanej był port mogący zmieścić sto okrętów.

Dniepr, nad którego brzegami Kozacy na statkach czajkami zwanych wypadali na morze Czarne, wpierw na Carogrodzkich, potem na tureckich Cesarzów uderzając; aż do ujścia swego długo nie znał innego pana jak Rzeczpospolitą Polską i władającego nią króla.

(Czacki: Uwagi o handlu Polski z Portą ottomańską).

Oczaków albo Dassów jeszcze za Zygmunta do Polski należał.

(Instrukcja posłowi Polskiemu do Turków dana w 1542 r.)

Nad samem morzem Czarnem mieliśmy port własny Kaczubej, jak również Biały-gród Akkermanem zwany. Wogóle zaś na morzu Czarnem mieliśmy mało przeciwników, może zyskaliśmy na czas długi tu przewagę, bo nie walczono o to z nami.

Żegluga handlowa.

Mówiąc o żegludze handlowej, nie można nie wspomnieć choć pokrótce o potężnym w wiekach średnich Związku hanzeatyckim; należały bowiem do niego ważniejsze miasta pruskie, inflanckie, a nawet niektóre w głębi leżące— jako to: Kraków. Otóż sprzymierzenie to znakomicie rozszerzało stosunki tych miast i zachęcało do większych przedsięwzięć. Krótko mówiąc, handel w czternastym i piętnastym zwłaszcza wieku przez Hanzę jedynie rozwijał się i egzystował.

Związek ten po raz pierwszy ogłoszony został w zgromadzeniu powszechnem w Kolonji w 1367 r.

Wypowiedział wojnę królowi duńskiemu Waldemarowi III, który czując się panem Sundu i Bełtu, chciał położyć tamę samowoli miast związkowych. W spisie miast poszczególnych znajdujemy naówczas: Chełmno, Toruń, Elbląg, Gdańsk, Królewiec, Rygę, Dorpat, Rewel, Pernawę; Kraków później do związku przystąpił.

Waldemar musiał ulec i podpisał wszystkie warunki podyktowane przez zwycięski związek.

Celniejsze kantory Hanzy były w Londynie, Briegge w Niderlandach, Bergen w Norwegji i w Nowogrodzie Wielkim. Ostatnie z tych miejsc otwierało mu drogę do Pskowa, Moskwy i innych części rosyjskiego państwa. Brali stamtąd futra kosztowne, drzewo do budowli okrętów i inne rozmaite ziemiopłody, zawozili zaś Moskowitom sukna flamandzkie, polskie—wszystko czego tylko potrzebować mogli...

W wieku XVI Hanza zaczęła upadać. Poddanie się Prus Polsce i powstałe stąd wojny zadały cios handlowi skojarzonych grodów; miasta tej prowincji, a później inflanckie, zmuszone były do uległości królom polskim. Zygmunta I i następnie syna jego sojusz prosił o protekcję; dowodzi to potęgi monarchów naszych.

Handel na morzu Bałtyckiem.

Handel na morzu Bałtyckiem rozważać należy w dwóch okresach; jako Prus oddzielnie, za czasu Krzyżaków i wtenczas, kiedy ta prowincja została wcieloną do Polski. Prusacy od najdawniejszych wieków bursztyn i kuny za odzież z Niemcami mieniali.

Później na własnych okrętach posyłali towary zagranicę. Gdy wchodził zakon krzyżacki do Prus, okręty Chełmińskie i Toruńskie znały żeglugę do Holandji, Anglji, Szwecji i Danji.

Handel polski na Bałtyku.

Kraj nasz, w którym cztery tysiące osiemset dziewiętnaście rzek, łącząc swe nurty, do Bałtyku lub Czarnego morza wpada, z natury samej do żeglugi handlowej pięknie się nadawał. Za spławne rzeki uznane: Wisła, Dniepr, Styr, Narew, Warta, Dunajec, Wisłoka, Bug, San, Nida, Prosna, Boda, Noteć, Narewka, Pilica, Święta, Wilija, Horyń, Słucz, Niemen, Prypeć, Dniestr i Dźwina.

Od najdawniejszych czasów dostarczaliśmy obcym krajom: pszenicę, żyto, jęczmień, owies, proso, len, konopie, witrjol, saletrę, miód, wosk, smołę, żywicę, ołów, miedź, żelazo, mosiądz, bursztyn, lazur, skóry, żywe woły i konie, drzewo wszelkie i popioły.

(Starowolski Simon. Declamatio contra obtrectatores Poloniae. Cracoviae in off. typ. Math. Andreos 1631).

Czerwcem handlowano do Florencji i Genui, z czasów Miechowity jeszcze, a królowie polscy od tego jedynie przedmiotu, miewali cła sześć tysięcy dukatów. Sprawiedliwie uważano, że gdybyśmy jak słyniemy jazdą, nawykli podobnież do służby morskiej, posiadając Bałtyk i morze Czarne, jeśli nie przewyższylibyśmy, sprostalibyśmy byli pewno wszystkim Europejczykom i bogactwa wschodu przeszłyby do rąk naszych. (Tamże).

Wolną żeglugę dla Polaków za morza nawet, bez opłaty, zawarowały przymierza z Krzyżakami zawierane w Nieszawie 1424 i w Brześciu Kujawskim 1436.

Jakoż widzimy czynione w tej mierze usiłowania; jedni dla wygody własnej mieli statki rybackie.

(Patrz w usprawiedliwiających pismach nadanie Mszczuga Księcia pomorskiego biskupowi Kujawskiemu Wojciechowi 1283 r. pod znakiem A.).

Inni, jak arcybiskup gnieźnieński Mikołaj Kurowski, ładowne zbożami i mięsiwem okręty, posyłając do Flandrji, wielkie zbierali bogactwa. Morsztyn kupiec krakowski za dynastji Jagiellońskiej na własnych okrętach wiódł handel z Anglją i Hiszpanją. Obszerne były związki handlowe Fuggerów; wysyłali oni płody tej ziemi, szczególnie miedź, do Holandji. (Bielski s. 467 Fukasami ich zowie).

Również starano się usuwać przeszkody — ułatwiać żeglugę. Tarło Mikołaj oczyścił Niemen, uczynił go zdatnym do spławiania statków; współcześni wznieśli mu pomnik nad tą rzeką.

(Schröter de fluvio Memela Crac. 1553. Fredro doradzał połączenie morza Bałtyckiego z Czarnem.)

Władysław IV chciał również przywieść to do skutku, przez kanał połączający Muchawiec i Pinę. Za Stanisława Augusta nakoniec Dudefil podawał projekt skojarzenia wód Dniestru i Bugu.

Czacki Tadeusz, ten mąż szlachetny, w całem życiu swem pełen poświęcenia dla ojczyzny, zasiadając w Komisji Skarbowej, własnym nakładem wydał mapę hydrograficzną całego kraju i gorąco przekładał władzom plan połączenia morza Czarnego w wielu miejscach z Bałtykiem.

Już kanał Ogińskiego jednoczył Niemen z Prypecią, Muchawiecki—Prypeć z Bugiem. Zostawało jeszcze, sprzągłszy Berezynę z Dźwiną, otworzyć handel Rygi do Kijowa, Łucka, Ostroga. Biebrzę wpuściwszy w Narew przechodziłyby towary z Niemna pod Grodnem do Wisły pod Serockiem. Dniestr z Bugiem i Niewieża z Aą dałyby się związać. Również Święta i Połąga, porty przez Szwedów popsute, dałyby się naprawić i stałyby się wygodnemi.

Handel na morzu Czarnem.

Kaczubej, Białygród, Techynia i Oczaków były to porty nasze na tem morzu.

Kaczubej, Czarny-horod przy ujściu Dniestru i Karawuł Władysław Jagiellończyk nadał jako dożywocie Buczackiemu, kładąc nań obowiązek odbudowania, pomnożenia i ulepszenia tych miejsc pod względem handlowym tak ważnych.

Prot Potocki założył w Jampolu port, składy i kwarantannę lądową i wodną; staraniem tego obywatela bandera polska została rozwinięta na morzu Czarnem.

Dzieje ich upadku, to dzieje klęsk i nieszczęść Polski, jako przedstawicielki całego plemienia w tych stronach zachodnich.

W ciągu ostatnich walk, w których owe ludy konały pod naciskiem germanizmu, a było to w dobie kiedy u nas panowali synowie Bolesława Krzywoustego—żeglarze lechiccy odznaczali się odwagą i nieraz burzyli Lubekę, w której osiadali Niemcy.

Słowiańscy też żeglarze pierwsi podali sposób przewożenia jazdy na okrętach. Zdobycze Bolesława Krzywoustego sięgały aż do wyspy Rony czyli Rugii.

Za panowania Kazimierza Jagiellończyka zboża nasze były spławiane na wyspę Cypr i inne kraje.

Wenecjanie chcąc, ażeby im port Białygród otworzyć, jak za Kazimierza Wielkiego, wyprawili o to poselstwo do Zygmunta I.

Najdawniejszy nasz handel na południu był Dnieprem. Nad ujściem tej rzeki, przy złączeniu jej z Bohiem, było dawne miasto Olbija—skład handlu lemantskiego. Kijów był wielkiem miastem, osiem rynków, trzysta cerkwi liczył.

Za Zygmunta I przy jednym porohu Dniepru była komora celna, Witoldową łaźnią zwana.

Wolność naszego handlu na morzu Czarnem, na wszystkich wodach, portach, rzekach państwa Ottomańskiego z wymienieniem Dniestru i Białogrodu, czterema traktatami została zawarowana.

Flota wojenna.

Przechodząc do dziejów marynarki wojennej zwracamy się do kronikarzy naszych, którzy notują, że już Wizimierz—Książe pomorski pokonywa Duńczyków na Bałtyckiem morzu około 604 r. Dalej Marcin Bielski zaznacza iż Bolesław Krzywousty w r. 1124 na okrętach wyekwipowanych, przedsięwziął wyprawę do Danji, skąd z wieloma skarbami powrócił...

Potem widzimy Obotryków i Lutyków w nieustannej wojnie z Danją, Sasami i wogóle z Niemcami. którzy coraz mocniej napierali na północną słowiańszczyznę. Dzieje to floty polskiej, boć te ludy pomorskie były tylko przedłużeniem Polan, plemieniem lechickiem.

Lecz przystąpimy już do powodów, które do utworzenia własnej floty Zygmunta Augusta przywiodły... A powodem głównym była wojna o Inflanty Szwedzi zabierali Polsce zamki, król postanowił zabierać im okręty.

W tych więc okolicznościach wezwał król na ochotnika wszystkich chcących uzbrajać statki, jak również księcia pruskiego do tegoż zachęcał. Tomasza Sierpinka admirałem swym mianował, rozkazując mu zabierać broń, żywność i inne potrzeby od tych, co do Inflant, Szwecji i rosyjskich krajów je dowożą. Zdobycz wszelką uznając za własność korsarzy, dziesiątą część tylko sobie zostawić. Zgłaszało się ochotników wielu i rozpowszechniło się dla nich nazwisko „freibiterów“.

Trzy najpierw, później dwanaście, pietnaście okrętów flagę polską wspaniale rozwinęło. Książę pruski połączył z niemi swoją flotyllę, z trzech okrętów złożoną.

Sierpinek, później zapewno Otto Narynkes, byli admirałami; Wukasowicz, Genrich i Hausnerker—w liczbie kapitanów.

Powstała więc najpierw jak widzimy flota ochotnicza od roku 1554 z freibiterów złożona.

Później zobaczymy powstanie floty królewskiej za Zygmunta III, nareszcie, za Władysława IV powstaje flota w założeniu czysto państwowem.

W roku 1563 odebrali Gdańszczanie rozkaz, żeby wspierali Sierpinka wojennemi potrzebami i żywnością, a dalej żeby urządzili dziesięć kaprów do zabierania nieprzyjaznych okrętów. Bo wojna morska była w owe czasy przedewszystkiem korsarską. Jako kaper królewski odznaczył się wtedy osobliwie Wąsowicz.

Gdańszczanie zawistnie patrzyli na wzrost siły morskiej, nie im uległej, ale królowi polskiemu. To też wkrótce powstał głośny zatarg między królem a Gdańskiem, gdy z błahej przyczyny: bójki o kurę na rynku, Gdańszczanie schwytali jedenastu frejbiterów i ściąć ich kazali, a głowy przybrane w wieńce ze słomy dla zniewagi na pal powbijali.

Sejm naznaczył komisję śledczą, weszli do niej: Stanisław Karnkowski, biskup kujawski, Jan Sierakowski, wojewoda łęczycki, herbu Ogończyk, Jan Kostna-Gdański, Mikołaj Firlej-Wiślicki, Szymon Szubski, inowrocławski kasztelan.

Biskup Stanisław Karnkowski zdał sprawę na Sejmie Warszawskim w roku 1570 w tych słowach charakterystycznych: „Przodkowie W. K. M. Gdańszczanom *nigdy tego nie pozwalali*, aby mieli niezmierzoną mocą szafować portem i morzem. Kazimierz, pradziad W. K. M., zachował sobie wolny szafunek obojga. Pozwolił im usum portus et maris, duntaxat ad commercia, o czem są przywileje. (Gdańsk otrzymał w r. 1437 przywilej od króla na wolną żeglugę. Przyp. autora). Królowie polscy i korona *nie ma sobie Gdańszczan* za sąsiady, albo pro confoederato seu consociato populo (jako się nie dawno pisali i za takie mieli), ale *im rozkazuje jako ludziom* i poddanym swym. Oni przecież port zawierali i otwierali wedle wolej swej, brzegi morskie sobie przywłaszczyli, dobra, które potoną na morzu, sami brali miastom przyległym, Elbieżanom i inszym nawigacyi zabraniali, kapitany na latarniej, gdzie są wrota do korony, ludzie obce chowali...“

Dalej skarży się Karnkowski, iż nie dopuszczano komisarzy do Gdańska, że jemu samemu „dawano piętnaście tysięcy dukatów, abych jeden mało co przejżał w tej sprawie, około wyswobodzenia tych, którzy siedzą“.

Zatarg o tak srogą obrazę króla skończył się tem, że burgrabia i stany miejskie przeprosiły go na klęczkach wśród senatu 23 lipca 1571 roku w Warszawie, jak również wypłacili grzywnę sto tysięcy złotych polskich oraz po 4 pieniądze od każdej grzywny pruskiej ze wszelkich towarów.

Widzimy więc jednak, że Gdańszczanie pierwszy cios sami zadali potędze morskiej naszej. Zaślepiła ich zawiść, podżegały źle zrozumiane widoki dobra i pomyślności miasta. Nie wiedzieli, że potęgą Polski oni również byt swój, szczęście i pomyślność zwiększyć mogą. Sprawiedliwie i trafnie rzekł do nich Sierakowski, wojewoda łęczycki, w czasie tej że komisji: „Polską zawżdy Gdańsk stał: bez Polski obejść się nie mógł i nie może. Nami żywiecie, nam też dobrze z wami.“

Życzyć trzeba, aby te tak trafne scharakteryzowanie naszej łączności z Gdańskiem zapanowało i w umysłach obecnego pokolenia mieszkańców tego miasta — im prędzej — tem lepiej dla dobra wspólnego — ich i naszego.

Źle zapoczątkowaną sprawę przez Gdańszczan, dokończyli Duńczycy — również przywłaszczając sobie panowanie nad morzem, i ostatek naszej floty pogromili. Tak upadła flota zapoczątkowana przez Zygmunta Augusta.

Jakiej wielkości to były okręty i jak wyglądały? Tu mamy ciekawy dokument: „Rejestr budowy galeony", zabytek z r. 1572 — świeżo wydany i komentarzami opatrzony przez dr. A. Kleczkowskiego.

Okręt taki powinien był mieć trzydzieści dwa łokcie dna swojego, osiem stóp płaszczyzny, dziesięć głębokości, wiązany aż do wierzchu i w obwodzie na dwadzieścia pięć stóp.

Admirał pruski na miesiąc sto pięćdziesiąt talarów pensji miał oznaczonej. Wielkość okrętów, jak zwykle w kupieckich miastach, była liczona podług liczby łasztów, któreby w sobie mieścił czy zabierał, — tak są okręty sześćdziesięciu, osiemdziesięciu do stu pięćdziesięciu i dwustu łasztów, czyli od tysiąca ośmiuset do sześciu tysięcy korcy. Znajdujemy wspomniane niższego rzędu statki jako to: jachty i pinki. Zdaje się, że ile łasztów, tyle ludzi na okręt liczono Armat zwykle posiadał taki okręt trzydzieści, co było liczbą nie małą.

Batory nie miał czasu myśleć o flocie, chociaż go Filip II, król hiszpański, i papież namawiali, by się nad królem duńskim pomścił zniszczenia siły morskiej Polaków za Zygmunta Augusta.

Za Zygmunta III powstaje na nowo flota polska, której potrzeba osobliwie się okazała, gdy wszczęto wojnę ze Szwedami w tysiąc sześćsetnym roku.

W Inflantach wiele zwycięstw lądowych odnieśliśmy, a i jedno duże morskie. A mianowicie: hetman Chodkiewicz, ciągnąc z Pernawy, dowiedział się, że część wojska nieprzyjacielsklego pod Szakiem była jeszcze na okrętach; wszelki handel między Rygą i obcemi portami przejmując. Nie sądząc, żeby czego lękać się mieli od Polaków na morzu, niedbale trzymali się Szwedzi. Chcąc z tego skorzystać, Chodkiewicz zdobytych w Pernawie dwóch okrętów i innych pomniejszych statków użył, przykupił kilka od Anglików i Holendrów, osadził je wojskiem, a puściwszy przodem kilka łodzi polnych, natarł popędliwie na flotę szwedzką, spalił dwa wielkie okręty i mnóstwo pomniejszych z całym ich ludem, resztę do ucieczki zmusił.

W roku 1625 znowu wybuchła wojna ze Szwedami z powodu utworzenia floty w Pucku i Gdańsku. Król żądał od księcia pruskiego, ażeby w Pilawie miał cztery okręty dla obserwowania Szwedów, Szwedzi zaś—by Gdańszczanie zachowali.

W roku 1626 Zygmunt na nowo układy ze Szwecją zrywa i rozkazuje uzbroić w Gdańsku najpierw dziewięć okrętów, a później szesnaście.

Dnia 28 listopada 1627 r. flota polska, pod dowództwem walecznego Cyppelmana, uderza na flotę szwedzką, stojącą w zatoce gdańskiej, niedaleko Oliwy — dziewięć statków polskich na jedenaście szwedzkich i po zaciętej walce odnosi piękne zwycięstwo. Okręt admiralski szwedzki wyleciał w powietrze, wódz ich, admirał Mikołaj Hoenszild, poległ, dwa wielkie okręty zabrano, kilka zatopiono lub spalono, niedobitki schronili się w Pilawie.

Nie licząc zabitych i rannych, sześćdziesiąt sześć wziętych do niewoli marynarzy szwedzkich szło za trumną poległego naczelnika.

Całą tę wyprawę Zygmunt III własnym ufundował sumptem. Była to, jak widzimy, rzeczywiście flota królewska.

Niestety, na nieszczęście, dość prędko potem posłano flotę naszą do Wismaru i tam została ona zniszczona przez połączone floty Duńczyków i Szwedów. Sto dwadzieścia armat, wiele broni, rynsztunku i wszelkich zapasów zginęło wtenczas razem...



Bitwa morska.

Flota nasza czatowała zwykle o sześć lub siedem mil od Helu, skąd w jedną i w drugą stronę można było zwracać żeglugę, i tu chwytali statki angielskie i inne, wiozące żywność i amunicję nieprzyjacielowi zwykle do Królewca, Elbląga i Rygi. Po zabraniu statków wytaczała się sprawa przed komisarzami morskimi. Jeżeli wyrok komisarzy wydawał się niesłusznym, uzyskiwano oddzialne komisje, taką naprzykład w r. 1630 Jakób Szczepański i Jan Zawadzki, uzyskali względem statków angielskich i zabranych kupców. I tu dostrzegamy zatargi pomiędzy Gdańszczanami zawsze niechętnymi a dowódzcami floty królewskiej.

Naród nasz wyczuwał potrzebę i korzyści siły morskiej, i chociaż z własnych dochodów bardzo skąpo udzielał grosza, nie skory był do opodatkowania się

dobrowolnego na utrzymanie floty, zwalał ten ciężar na królów i od śmierci Zygmunta Augusta aż do Władysława IV zawsze w „pacta conventa“ umieszczano warunek floty na Bałtyku — dla bezpieczeństwa kraju i wznowienia żeglugi do Narwi...

Lanckoroński, komendant na Pucku, wiele dokonał.

Historja — ta mistrzyni narodów — niechże nas poucza o omyłkach przeszłości, abyśmy ich nie powtarzali, i życzyć tylko możemy, aby świeżo powstały Komitet Floty Narodowej był szczęśliwszy od poprzednich w dopięciu swoich zamiarów.

Król Władysław IV — nasz wielki polityk — rozumiał doskonale znaczenie naszej siły zbrojnej na morzu i robił, co mógł: tworzył na morzu flotę, kształcił żołnierzy morskich, starostom po nad brzegami morza żywnością opatrywać ją rozkazał. Puck i na półwyspie Helu świeżo założony Władysławów i szaniec Kazimierza opatrzył liczną osadą i wszelkim wojennym rynsztunkiem. Tak samo pomyślał o Tczewie, nadwiślanej warowni Sperlingen, dostarczając tam duże zapasy żywności i prochów.

Najlepiej w spełnianiu tych wielkich zamiarów pomagał królowi inżynier wojenny, Jan Plaitner — młodzieniec wykształcony w Belgji, a który już pod Smoleńskiem złożył dowody swych uzdolnień.

I słynny Eljasz Arciszewski, biegły w sztuce wojennej, przydał się bardzo królowi i ten, kiedy od Wisły groziło niebezpieczeństwo, poniżej Gdańska koło twierdzy Szperlingowej na podstawionych kołach lądem ogromne przewoził statki; na nich wsparty most wybudował, oba końce mocnemi okopy ubezpieczył, a często na Szwedów robił wycieczki.

Król Władysław IV w roku 1635 odnowił komisję morską; na naczelnika jej powołał Gerharda Denhofa i Zygmunta barona Goldenszterna.

Nareszcie jedną myśl śmiałą, a szkoda, że nie urzeczywistnioną, powziął Władysław IV — oto chciał on możnych i nieustraszonych Zaporożców przenieść na pobrzeża Dźwiny: „gdzieby ze Żmudzkich jesionów porobione ich łodzie, mogły i na oceanie szwedzkim i na Bałtyckiem morzu sławę Sarmatów walecznych rozgłaszać i granice rozprzestrzeniać.“

Widzimy więc, jak powiedzieliśmy na początku, że król Władysław IV przygotował flotę państwową, wychodząc z zasady, iż potężna Polska powinna mieć flotę.

W roku 1637 Koryciński wniósł na Sejmie potrzebę ustanowienia ceł i floty. Uniwersał królewski ogłosił komisję celną, a Spiringów poborcami naznaczył.

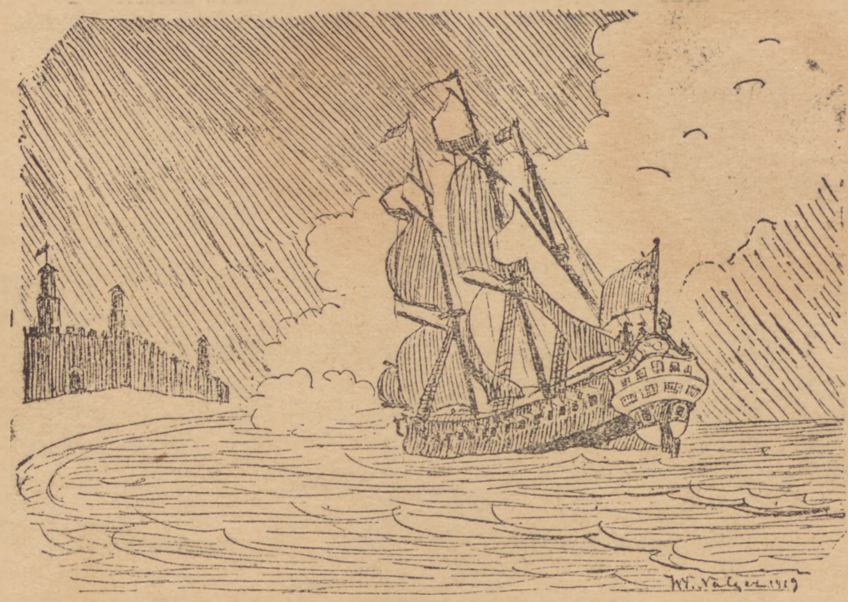
Trzej bracia: Izaak, Abraham i Ernst Spiringowie — rodzina kupiecka holenderska, służyła królowi na morzu i prowadziła osobno rozległy handel. Byli to razem kupcy i korsarze, nawet poniekąd bohaterowie morscy.

Gdy miasto Pilawa nie chciało płacić poborów, Ernest Spiring, najmłodszy z trzech braci Spiringów, z okrętem we dwadzieścia armat śmiało stanął pod murami miasta i zmusił do posłuszeństwa woli królewskiej.

Gdańszczanie, jak zwykle, i tu niechętni byli temu „Spiringowemu cłu“ i rozmaite intrygi układali.

Król rozgniewany, skarcił Gdańszczan i cło utrzymał, a jaka była konieczność tego, dowodem służyć może, iż Sarbiewski mówi w kazaniu o potrzebie ceł.

Więc, jak widzimy, wiele starań Władysław IV włożył dla wzmocnienia naszego stanowiska jako państwa morskiego, rozumiejąc znaczenie tego. Król sam osobiście zwiedzał wszystkie nadbrzeża, udał się do Pucka, własnem okiem chciał widzieć wszystko — ażeby zdecydować, gdzie jeszcze warownie wznosić należy, ile dla ubezpieczenia tych miejsc okrętów, ile wszelakiego rynsztunku potrzeba.



Bohaterski czyn Ernesta Springa, kaprala króla Władysława IV.
(Z obrazu Włodzimierza Nałęcza).

Na Sejmie 1639 r. radzono wzmocnić Dirszawę (Tczew). Puck i inne miejsca; a w r. 1642 poprawiono port w Pilawie.

Śmierć króla przerwała te zamiary. Zbrojownię w Pucku zabrali Gdańszczanie, okręty i rynsztunki również w tym czasie gdzieś poznikały.

Jan Kazimierz w Warszawie w r. 1654 prowadził układy z Belgją. Polacy kładli nacisk na nadesłanie dwudziestu okrętów wojennych na morze Bałtyckie. Niestety, przez intrygi nieprzyjaciół, układy te nie doszły do skutku.

To były ostatnie usiłowania Polaków.

Odtąd wszystkiego zaniechano—w jakiś letarg zapadali i naród i panujący, a wszystkie rady ku zapobieżeniu złemu na nic się nie zdały — szlachta skąpiła grosza na to...

Zbiór pawilonów w Augsburgu, wydany w r. 1790, mieści wizerunek polskiej narodowej i królewskiej bandery.

Również bandery nasze znajdujemy w dziele: Chronologische Tafeln dos G. Marzel advocatt in det Parlament van Parys, 1705 Amsterdam by Petrus Schenk in fol.

Z tych wydań skorzystał Tomasz Święcki i przerysował te bandery do swojego dzieła pod tytułem: Historyczna wiadomość o ziemi pomorskiej, o mieście Gdańsku, oraz żegludze i panowaniu Polaków na morzu Bałtyckiem. Warszawa, 1811.

Rysunek i opis bander taki: tło czerwone z odcieniem niebieskim, rękaw złoty, ręka biała, miecz niebieski — to bandera królewska, narodowa zaś miała na tle czerwonem tylko białego orła. Nareszcie polska bandera gdańska — ku-



Bandera królewska.



Bandera narodowa.

piecka — na tle czerwonem dwa małe białe krzyże, jeden nad drugim, z koroną złotą.

Andrzej Borszkowski, podpułkownik polski, który poległ w roku 1812 pod Krasnem, jeszcze w końcu XVIII w. w Tulonie widział trzy nasze flagi starożytne: **królewską, narodową** i **kupiecką.**

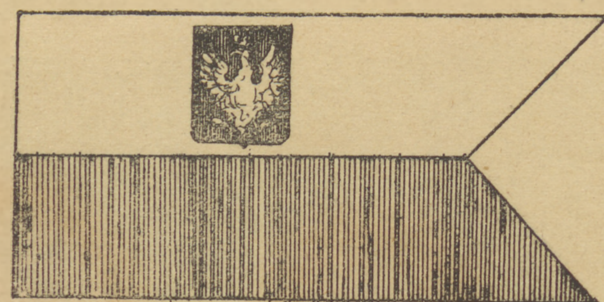
Robię przypuszczenie, iż najprawdopodobniej podług tych właśnie flag, przechowywanych w muzeum w Tulonie, wzorowano się w wydawnictwie pierwszej francuskiej encyklopedji — tej prawdziwej — w tychże czasach ogłoszonej, a z której przytaczam właśnie podane wizerunki tych bander.

A teraz przechodzimy do czasów najnowszych i mówić będziemy o współczesnych banderach naszych.

Z chwilą uzyskania niepodległego bytu politycznego — jedną z palących kwestji dla nas — była sprawa ustalenia państwowych bander polskich.

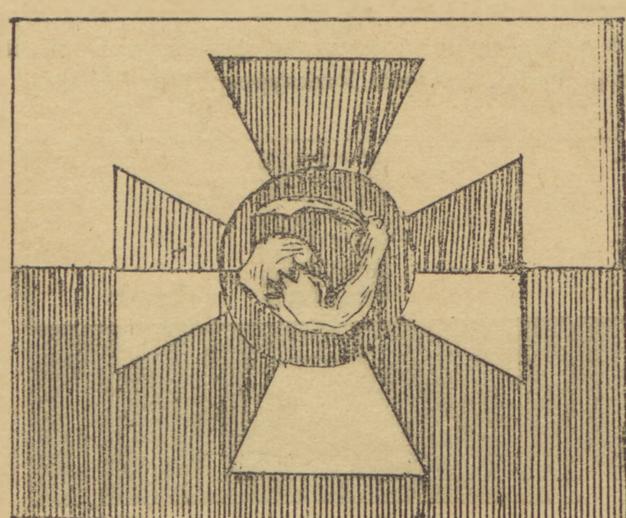
Za herb Rzeczypospolitej Polskiej uznaje się znak orła białego z głową zwróconą w prawo (dla patrzącego — w lewo) ze skrzydłami wzniesionemi do góry, ze złotemi szponami, koroną i dziobem w czerwonem polu prostokątnem.

2. Barw narodowych.



Flaga wojenna lądowa i bandera wojenna morska.

Za barwy Rzeczypospolitej Polskiej uznaje się kolory: biały i czerwony, w podłużnych pasach równoległych, z których górny — biały, dolny zaś — czerwony.



Proporzec.

3. Chorągiew Rzeczypospolitej.

Za godło Rzeczypospolitej, przysługujące Naczelnikowi Państwa, uznaje się chorągiew barwy czerwonej, przytwierdzoną do drzewca, z herbem Rzeczypospolitej pośrodku. Stosunek dlugości do szerokości stanowi 5 i 8.



Znak służby czynnej.

4. Flag dla dyplomatycznych przedstawicieli Państwa i konsulów, wicekonsulów oraz handlowej bandery morskiej.

Za flagę poselstw i konsulatów oraz banderę handlową morską uznaje się chorągiew bez wycięcia o barwach państwowych, przytwierdzoną do ruchomego sznura na drzewcu, z herbem Rzeczypospolitej pośrodku pasa. Stosunek długości do szerokości stanowi 8 : 5.

5. Flagi wojennej i lądowej bandery morskiej wojennej oraz proporca i znaku polskiej marynarki wojennej.

Za flagę wojenną lądową oraz za banderę wojenną morską uznaje się chorągiew z wycięciem, o barwach narodowych, przytwierdzoną do ruchomego sznurka na drzewcu, z herbem Rzeczypospolitej w pośrodku białego pasu. Stosunek długości do szerokości chorągwi stanowi 5 : 10.

Prócz bandery wojennej, która stanowi wojskowy sztandar na okręcie, ustanawia się następujące chorągwie okrętowe marynarki wojennej;

a) Proporzec, który wywiesza się na dziobie okrętu wojennnego, o ile ten należy do pierwszych 2 klas okrętu t. j. ma większą pojemność oraz artylerję.

Proporzec przedstawia chorągiew prostokątną o barwach narodowych i na niej znajduje się polski krzyż kawalerski, w którego sercu umieszczona ręka z mieczem. Stosunek długości proporca do szerokości tegoż stanowi 6 : 5.

b) Znak, który umieszcza się na szczycie wielkiego masztu okrętu wojennego, dla oznaczenia, że okręt jest w służbie czynnej pod dowództwem oficera polskiej marynarki wojennej. Znak przedstawia wstęgę o barwach narodowych z polskim krzyżem kawalerskim przy drzewcu. Stosunek długości znaku do szerokości tegoż stanowi 25 : 1.

Art. 2. Używanie przez instytucje nie państwowe i osoby prywatne bez szczególnego zezwolenia Ministra Spraw Wewnętrznych godeł, chorągwi i bander, w postaci niniejszą ustawą przepisanej, oraz pieczęci z orłem; a także używanie jakichkolwiek godeł i barw państwowych w sposób, uchybiający czci, należnej Rzeczypospolitej, jest wzbronione i podlega w drodze sądowej karze pieniężnej od 10 do 10.000 marek, albo karze aresztu od trzech dni do sześciu miesięcy, albo też obu tym karom razem, o ile ustawy cięższych kar nie przewidują.

Prawo mówi jasno, a więc nie powinniśmy, co się zdarzało dotąd, odbiegać od zatwierdzonych, a obowiązujących dla wszystkich wzorów, które tu podajemy.

* * *

Po zwiedzeniu Gdańska, zrobiliśmy wycieczkę do Oliwy, słynnej ze swej piękności i dobrze znanej w historji polskiej. Położona na wzgórzach, lasem pokrytych, prawie, że nad samem morzem, posiada niezrównane w swej malowniczości widoki. A oprócz tego tyle wspomnień historycznych! Tu Zygmunt III zaprzysiągł „pacta conventa". a nieszczęśliwy syn jego, Jan Kazimierz, po stra-



Wieś nad Wisłą. — (Z obrazu Wł. Nałęcza).

sznem spustoszeniu Polski przez Szwedów, zawarł tu znany pokój z Karolem Gustawem dnia 3-go maja 1660 roku, mocą którego zrzekł się swych praw do korony szwedzkiej. Zachował się dotąd pamiątkowy stół gdański, na którym akt ów podpisano; na ścianie zaś umieszczona jest tablica z odpowiednim napisem.

Zwiedziliśmy starodawny kościół i ogród dawnych opatów, dzisiaj królewskim zwany.

Tradycja powiada, że kościół i klasztor ufundował w końcu XII wieku Sobiesław I, książę pomorski, sprowadziwszy Cystersów z Francji. Kościół w formie krzyża, początkowo zbudowany był w stylu romańskim, następnie rozwinięty w stylu gotyckim, w parę stuleci później pozyskał wiele ołtarzy oraz organy barokowe,—przedstawia więc dziwną mieszaninę stylów.

Prócz wielkiej liczby pamiątkowych pomników, najbardziej zasługują na uwagę organy, jedne z największych i najpiękniejszych w świecie. Są one dziełem mnicha, znanego pod nazwą brata Michała, który dwadzieścia lat pracował nad ich wykonaniem. Odzywają się tylko podczas wielkich uroczystości. Dla nas zrobiono wyjątek i mieliśmy możność usłyszeć ich wstrząsające dźwięki, które falami melodji, naprzemian to majestatycznej w swej potędze, to niezrównanej w swej rzewności i harmonji, wypełniały rozległą świątynię...

Park wokoło kościoła jest strzyżony na sposób włoski. Urozmaicają go stawy, kaskady, mostki, dwie w postaci muszel kamienne groty, o subtelnem, odpowiadającem sobie echu, tak, że cicha nawet mowa w jednej słyszana jest w drugiej.

Najpiękniejszą częścią ogrodu jest długa aleja z widokiem na morze.

Z żalem opuszczaliśmy uroczą Oliwę, aby udać się do odległych o jedną stację kolejową Sobót. Dzisiejsze Zoppoty, znana dobrze miejscowość kąpielowa, coraz bardziej się rozwija i zabudowuje.

Przez jej ocienione zielenią ulice śpieszyliśmy na brzeg morski, gdzie towarzystwo nasze rozproszyło się na mniejsze gromadki, aby skupić się i w spokoju podziwiać cudny zachód słońca nad Bałtykiem.

Powrotną drogę do Gdańska odbyliśmy morzem, dziwnie tajemniczem i pociągającem w ciemnościach nocy.

Przenocowawszy po raz drugi w Gdańsku, zebraliśmy się zrana w porcie koło Grünes-Thor i siedliśmy na morski statek, którym po czterech godzinach drogi mieliśmy się dostać na półwysep Hel.

Morze tak łagodne wczoraj, pociemniało, pomarszczyło się, na wysokich szafirowych falach znaczą się białe piany. Statek kołysze dość silnie, słychać narzekania mniej wytrzymałych osób, część pasażerów zapada na chorobę morską. Ukazują się nareszcie brzegi Helu; jest to długi, a bardzo wąski półwysep, pokryty lasem. W osadzie tegoż nazwiska znajduje się wyniosła latarnia morska, z której szczytu widok jest nader rozległy.

Półwysep Hel jest w znacznej części zamieszkały przez Polaków. Odległa o dwie mile od przystani Jastarnia jest osadą czysto polską. Są to potom-

kowie różnych Kmiciców-warchołów, którzy tu chronili się przed kondemnatami trybunałów.

Mieliśmy kilka godzin czasu. Towarzystwo rozproszyło się. Ja, pamiętając o wytycznym celu swojej podróży, z „molo", daleko wysuniętego w morze, porobiłem potrzebne mi studja morskie.

Wicher jednak coraz więcej się wzmagał i w chwili naszego odpłynięcia od brzegu wprost przeszedł w burzę. Niebo literalnie połączyło się z morzem, które nabrało złowrogiej, ciemnej barwy. Ogromne bałwany coraz częściej przelatywały przez pokład statku, zalewały wylękłych pasażerów, a jęki i narzekania chorych potęgowały grozę położenia. To też, gdy po paru godzinach dobiliśmy do Sobót, większość pasażerów uciekła ze statków i wołała wrócić do Gdańska koleją.

Burza jednak zaczęła uspakajać się. Niewielka liczba wiernych morzu została za to sowicie wynagrodzona—niebo wyjaśniło się, fale ucichły, i wśród pięknej pogody dopłynęliśmy do portu.

Jeszcze jeden, ostatni zachód słońca na Bałtyku, i żegnać go musimy; przesiadamy się na nasze wiślane statki i z żalem puszczamy się w odwrotną drogę.

W Toruniu towarzystwo się rozdzieliło; część wróciła koleją, część została, by dokładniej zwiedzić miasto i dalej płynąć Wisłą. We Włocławku jednak był koniec naszej wycieczki. Prawie wszyscy wrócili do Warszawy koleją. Zaledwie parę osób przesiadło się na zwykły pasażerski statek, aby dłużej rozkoszować się wodną podróżą. A podróż to poważna, gdyż przebyliśmy około tysiąca kilometrów wodą.

Ostatniego dnia Wisła roztoczyła przed nami z całą kokieterją swe powaby — spokojna, majestatyczna, a dziwnie mieniąca się w kolorycie, znaczyła nam drogę perłowym szlakiem. Odbicia zmieniały się co chwila, przelewając srebro w złoto, szmaragdy w szafir, opalizując do słońca i sypiąc brylantami. Wdychaliśmy aromat przeczystego powietrza, wypoczywając po trudach forsownej wycieczki i zebraniu dużej sumy silnych a różnorodnych wrażeń.

Wracałem zadowolony z podróży, gdyż i cel swój bezpośredni — artystyczny osiągnąłem i obmyśliłem przyszłe swoje kompozycje z nigdy niezapomnianych dla nas dziejów marynarki polskiej.

Część III.

W Jastarni

Wysoce zainteresowany wycieczką „Wisłą do Gdańska", którą odbyłem wraz z Towarzystwem Krajoznawczem, niezmiernie żałowałem, iż nie udało się nam wtedy dotrzeć do prawdziwych Kaszubów, co było w planie podróży.

Hela okazała sie niemiecką osadą, jedyną zresztą na całym półwyspie Helu, okalającym od północo-zachodu zatokę Gdańską. Dopiero o szesnaście kilometrów dalej zaczynają się wsie kaszubskie, nasze, żywe, polskie.

Otóż w tym roku inną ułożyłem marszrutę. Postanowiłem odrazu zatrzymać się dłużej w Jastarni — głównej osadzie rybackiej na półwyspie Helu.

Do Gdańska przyjechałem pociągiem bezpośredniej komunikacji z Warszawy przez Mławę i Iłowo. Połączenie kolejowe jest doskonałe — po dziewięciu godzinach podróży wysiada się w Sobotach. Wobec tego kwestja bojkotu Sobót upada całkiem. Warszawa nie może się obejść bez morza tak blisko położonego, gdzie się ma możność odpocząć w cudownem morskiem powietrzu po trudach i gorączkowem życiu wielkiego miasta. Chodzi jednak o to, podług mego zdania, aby unikać przeludnionych Sobót, a docierać o kilka mil dalej, do wsi kaszubskich, gdzie się znajdziemy wśród swoich. Prawda, że tam niema kurortów i wykwintnych hoteli, a li tylko schludne gospody, i że trzeba się zgodzić na życie skromne. W miarę jednak popytu moglibyśmy stworzyć swoją polską miejscowość kuracyjną; chodzi tylko o odwiedzanie tego tak niesłusznie zapomnianego zakątka dawnego Pomorza, dawnego kawałka ziemi polskiej. Najwięcej nadają się do założenia przyszłego letniska nadmorskiego dwa punkty — Karwia i Jastarnia.

Pierwsza — jest to wieś prawdziwie kaszubska, przeważnie rybacka, — najdalej wysunięta na północ nad Bałtykiem placówka swojska. Fale ma więk-

sze, aniżeli Soboty, procent soli w wodzie znaczniejszy, morze żywsze — oto przewaga samego terenu, Dodać do tego trzeba szerokie, twarde, czyste, powoli opadające wybrzeże, najodpowiedniejsze do morskich kąpieli. Są i zaczątki przyszłych hoteli — dwie gospody, w których można dostać znośnego pożywienia.

Droga — koleją rano o godzinie 7-ej z Sobót przez Redę do Pucka, a stąd kolejką krokowską do Sławoszyna, gdzie stajemy o godzinie 9-ej i pół rano; od Sławoszyna niecałe sześć kilometrów do Karwi.

To dla osób, które się obawiają podróży morskiej, dla odważniejszych zaś niema jak półwysep Hel z czysto polskiemi osadami Jastarnią, Borem, Kusfeldem (Kuźnice), Chałupami! Prawda, że trzeba odbyć trzy i pół godzinną podróż morzem, co czasem przy wzburzonem morzu bywa rzeczą nieprzyjemną. Ja jednak nie mogłem się uskarżać — podróż mi się udała — morze było spokojne i w oznaczonym terminie wylądowałem bez przygód we wspomnianej wyżej osadzie niemieckiej Heli.

Tu jednak zaczynały się trudności co do dalszej podróży, gdyż być może i w projektach rządu pruskiego leży, aby Kaszuby były zapomniane — osobliwie przez Polaków. Inaczej trudno wytłumaczyć sobie, iż o ile starano się podnieść Hel *), bez wielkiego zresztą powodzenia, o tyle nic nie zrobiono dla Jastarni. Połączenie Gdańska z Helą niemiecką jest regulowane przez parowce, trzy razy dziennie kursujące tam i z powrotem.

Wybudowano tu duży kurhaus, wygodną przystań, hotele, które nie są jednak przepełnione jak w Sobotach, leżących z drugiej strony zatoki. Dla Jastarni nie zrobiono nic. Statki tu nie dochodzą, przysta niema — jednem słowem, — żadnej zachęty i atrakcji dla letnich gości.

Jedyna, zdaje mi się, para koni w Heli, należy do właściciela wędzarni — niemca, który też nadużywa swojego monopolu. Zapłaciłem mu tyle za wynajęcie wozu do Jastarni — odległej o szesnaście kilometrów od Heli — ile mnie kosztowała cała podróż od Warszawy do Gdańska. Ale nie było rady.

W dżdżysty, pochmurny dzień ruszyliśmy przez lasy. Droga dobra, miejscami piaszczysta, — całe 16 kilometrów lasem, a przy wsi Borze — brzegiem „małego morza".

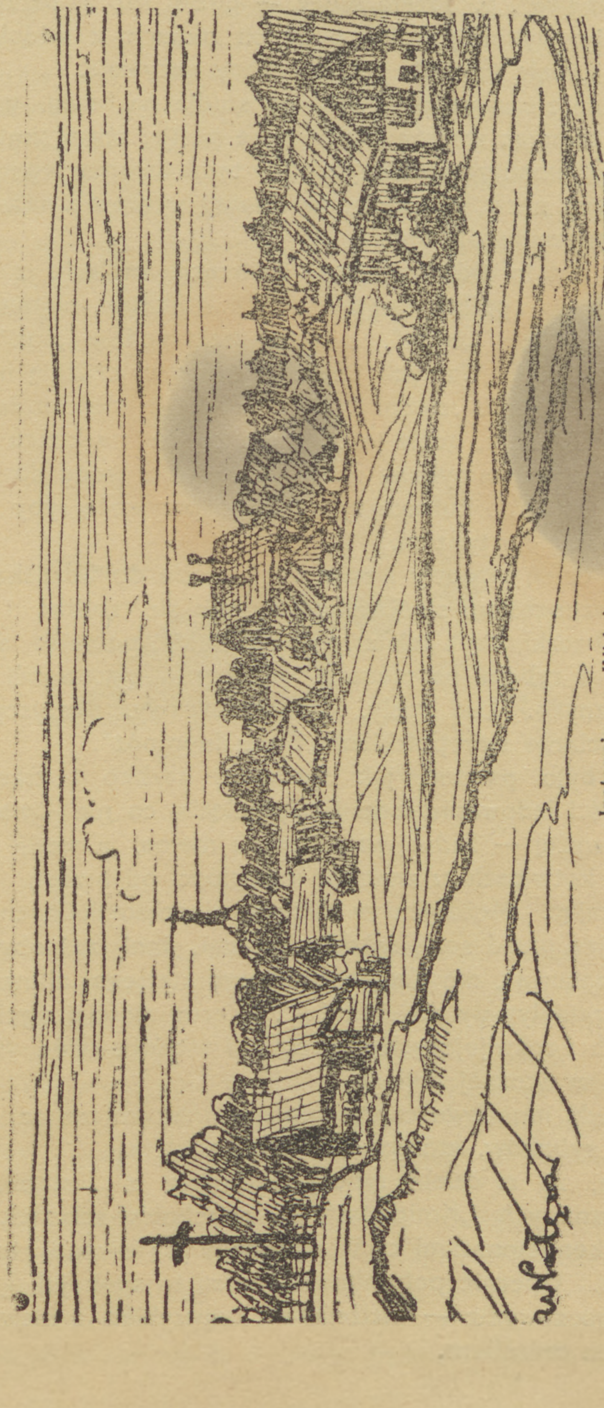
Gdy droga skręciła w lewo, z lasów do brzegów morza, ujrzałem schludne, czyste, murowane domki Boru — pierwszej z tej strony osady czysto kaszubskiej. Jakby na powitanie, słońce oświeciło pochmurny dotąd krajobraz, i omyte deszczem czerwone dachówki i mury domów zajaśniały gorącemi plamami na tle ciemnego lasu sosnowego.

Byliśmy nareszcie śród swoich. Przejechałem przez piaszczyste uliczki Boru (bo o brukach tu niema nawet mowy, a zresztą — i potrzeby) i stanąłem w Jastarni.

---

*) Hela — nazwa niemiecka. Hel — nazwa polska. (Przyp. autora).

**) Pisano przed wojną — obecnie niema, (Przyp. późniejszy).



Jastarnia. — Widok ogólny.

Przy wjeździe do osady wita pod lasem stojący, piętrowy, murowany hotel „pod morską mewą“, p. Józefa Muży — gdzie też i rozłożyłem swoje penaty. Miałem duży, wygodny pokój o trzech oknach z widokiem na zatokę Gdańską, czyli na „małe morze“, jak je rybacy nazywają.

Na drugi dzień zrana pośpieszyłem na studja na brzeg, gdzie stały w malarskim nieładzie, tworząc zresztą malownicze partje, stare „kutry“ i „boty“.

Tu muszę wytłumaczyć różnicę między temi dwoma typami statków, tem bardziej, że lepszych nazw, zdaje się, nie mamy w mowie naszej, a obecne niewątpliwie są pochodzenia obcego.

Owóż „bot“ jest to łódź mniejsza, o trzech żaglach, z których główny, największy nazywa się „gafla“, drugi nad nim trójkątny, najmniejszy, pod szczytem masztu, nazywa się „topk“, a trzeci na przodzie „fok“. Obsługa łodzi składa się z trzech ludzi. Na tych botach rybacy wyjeżdżają na połów ryb.

„Kuter“ zaś — jest to znacznie większa łódź z wielkim żaglem, z podwójnem dnem czyli pokładem, gdzie jest i mała kajuta na końcu łodzi; pośrodku urządzony zwykle bywa zamykany na klucz basen z wodą do przewożenia ryb żywemi. Na tych właśnie kutrach rybacy nasi przywożą ryby na targ do Gdańska, zwykle dwa razy na tydzień.

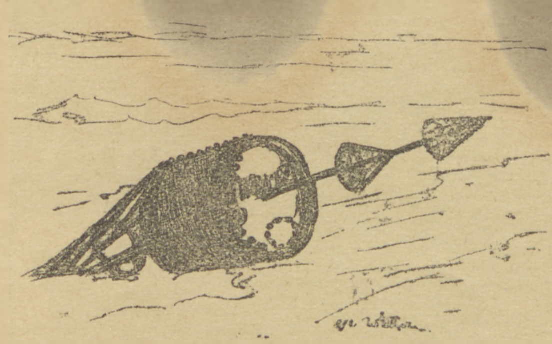
Właśnie był dzień targowy i pora odpłynięcia do Gdańska. Zaledwie ustawiłem stalugi i rozpocząłem swój szkic, zaczęli się zbliżać i przechodzić koło mnie rybacy i rybaczki, czyli tak zwane „hohorki“, uginając się pod ciężarem wysokich koszów z rybami na plecach. Mężczyźni przewozili ryby na małych wózkach podręcznych. Lud rosły, dzielny, wesoły. Wszyscy uśmiechali się i witali mnie gościnnie staropolskiem „Boże dopomóż“.

Przyjemnie było patrzeć, jak sprawnie, szybko i zręcznie wykonywali wszystkie czynności ładowania łodzi i odpłynięcia, co nie było tak łatwe. Jak zaznaczyłem już wyżej — żadnej przystani tu niema, a woda płytka — tak że „kutry“ stoją na kotwicach w znacznej odległości od brzegu. „Maszopi“ radzili sobie, nie narzekając. Mężczyźni w dużych, nieprzemakalnych butach brnęli po wodzie, popychając przed sobą wózki z rybami, inni zaś obyczajem rybackim brali na plecy „hohorki“, nie chcące zamoczyć swojego obuwia, i przenosili je na łodzie, które podpływały do „kutrów“. Coraz częściej słychać było trzepotanie podnoszonych i rozwijających się żagli, i wkrótce cała flotylla, jak stado mew, pociągnęła w ukośnej linji do Gdańska.

Scenka przede mną była czysto morska, malownicza, a tem droższa, że swojska, z życia rybaków, których dotąd nie znałem.

Okazuje się, że ci dzielni rybacy-marynarze z Jastarni, są to częściowo potomkowie rozmaitych „Kmiciców“ — warchołów-szlachciców, którzy ongi, uciekając przed kondemnatami czyli wyrokami sądowemi, tu znajdowali spokojne schronisko. Obecnie potomkowie ich są to spokojni i odważni rybacy, dumni ze swojego zawodu; — małżeństwo, naprzykład, z niewiastą z lądu, uważają tu za pewien mezalians.

Wspomniałem wyżej o „maszopach", więc muszę wytłumaczyć — co to znaczy. „Maszoperja" — słowo wzięte z holenderskiego — jest to związek rybacki dla wspólnego działania i samopomocy. Każdy członek maszoperji obowiązany jest dostarczyć pewną ilość sieci i narzędzi rybackich. Połów składa się w ręce „szyprów" czyli starszych, którzy z matematyczną niemal dokładnością dzielą ryby na równe części śród stowarzyszonych. Ksiądz i nauczyciel również należą do działu. Wdowy zaś i małoletnie dzieci, pozostałe po maszopach, dostają połowę udziału męża i ojca. W ten sposób „maszoperja", opiekując się słabszymi, zapobiega nędzy oraz żebraninie. Jest to więc doniosła instytucja w życiu naszych rybaków, gdyż morze, karmiąc tylu, od czasu do czasu pochłania też swoje ofiary. Tak się stało roku zeszłego ze szwedzkim parostatkiem, którego czarną sylwetę wystającą ponad wodą widzę niedaleko brzegu o kilka kilometrów od Jastarni.



Nagrobek morski.

W ponurą, grudniową noc rzucony na mieliznę, został prawie na dwoje przełamany falami. Podczas mojego pobytu właśnie pracowano około niego, aby uratować, co się da. Stary rybak jednak, z którym rozmawiałem o statku, bardzo pesymistycznie zapatrywał się na tę robotę. „Piasek — powiada—coraz więcej zaciąga kadłub, a przyjdą „wały" i rozbiją statek do reszty".

Przy samej Jastarni, również przeszłej zimy, rozbił się drugi szwedzki parowiec „Archimedes", przyczem kilku ludzi zginęło z zimna i wyczerpania, reszta załogi ocalała.

Są i grobowce, zwyczajem marynarskim, na miejscach zatonięcia statków. Jest to wielka beczka metalowa ze sterczącym szpicem na latarkę, a łańcuchem umocowana na kotwicy, rzuconej w miejscu rozbitego okrętu. Taki właśnie pomnik umieszczono nad biednym „Archimedesem". Beczka jest malowana jaskrawo, aby była widoczna zdala, — napis angielski: „wrecked".

W czasie mojej bytności, po pewnym dniu burzliwym, morze zerwało z łańcucha i wyrzuciło ten pływający grobowiec na brzeg. Skorzystałem ze sposobności, aby zrobić szkic odpowiedni, który tu dołączam.

Te ciągłe niebezpieczeństwa, jakim podlegają marynarze na morzu, wyrabiają z nich ludzi wysoce religijnych. I rzeczywiście, nieraz tylko opieka Stwórcy czuwa nad naszymi rybakami. W niedzielę wygląd Jastarni i przyległych osad Boru i Kufsfeld zmienia się nie do poznania. Jedyna to parafja czysto rybacka, gdzie nieraz nieboszczyka wiozą na łodzi dla wygodniejszej drogi, na jedyny cmentarz, gdzie leżą sami rybacy polscy.



Cmentarzyk rybacki w Borze.

O ósmej zrana przybrani odświętnie, ale nieco za poważnie bo czarny kolor dominuje, wszyscy ciągną do kościoła. Mężczyźni zasiadają w kościele po lewej stronie, niewiasty po prawej i zaczynają unisono śpiewać różaniec i litanję do Matki Boskiej — opiekunki rybaków.

Rytm śpiewu nieco monotonny, lecz wręcz odrębny, przypominający miarowe kołysanie łodzi na morzu. Rytm oryginalny — tu zdaje się tylko przechował się i zasługuje, aby który z naszych historyków muzyki i kompozytorów zwrócił na to baczniejszą uwagę.

O dziesiątej zaczyna się suma, kazanie i nabożeństwo po polsku. Wszyscy się modlą gorliwie. Po południu rozchodzą się na obiad, a o trzeciej zaczynają się nieszpory, — dzień cały zatem poświęcony jest tutaj Bogu.

Wieczorem tylko młodzież zbiera się w gospodzie i przy szklaneczce „bajerszu" (lekkiego piwa) i niewybrednej muzyce tańczy ochoczo.

Lecz i tutaj skromność i surowość obyczajów, jak i we wszystkiem, odgrywa swoją rolę.

Przedewszystkiem, najczęściej mężczyźni tańczą sami ze sobą. Ulubionym tańcem jest tu znany „diuk-wiwat" — rodzaj polki. Ze szklankami „bajerszu"



Hchorka niosąca ryby.

dwaj tańczący przyskakują do siebie, obracają się, przytupują, ciągle trzymając szklanki w ręku, a obecni otaczają kołem tańczących, sekundują im i zachęcają,

Niewiasty raz na miesiąc zaledwie biorą udział w tych tanach — częściej nie wypada. Potem dość wcześnie rozchodzą się, gdyż ze świtem trzeba wyruszać na morze na połów.

Wstrzemięźliwi są wielce, więc i tej plagi społecznej — alkoholizmu, niema tu również.

W lecie słynie odpust w Swarzewie, na który z Jastarni wyrusza procesja; — prawie cała wieś idzie piechotą przez cały półwysep. Po drodze przyłączają się pobożni z Kufsfeldu, Chałup, Wielkiej wsi — i wszyscy docierają nareszcie do Swarzewa, odległego o jakie trzy mile od Jastarni.

Niedaleko kościoła w Jastarni — tuż zaraz za wsią, mieści się i cmentarz — jedyny w całej Polsce, gdzie leżą sami rybacy. Cmentarz położony śród „diun" i otoczony jest lasem. Mogiły zrównane z ziemią, nie tak, jak u nas, a to z tego powodu, iż wiatry tu panujące wywiałyby i rozdmuchały nasypy. Otóż dla utrwalenia gruntu, rząd, do którego należę lasy na całym półwyspie, — energicznie ich broni i je sadzi.

Lasy te za czasów polskich nazywały się i były królewskiemi. Obecna gospodarka leśna prowadzona jest, trzeba przyznać, doskonale. Dla wzmoc-



Żak (przeważnie do połowu węgorzy morskich).

nienia przybrzeżnych piasków ciągle się sadzi „charszcz" i specjalne osty, wzmacniając korzeniami piasek. Za zerwanie tych roślin grozi kara do sześćdziesięciu marek.

Osty te przeważnie są sadzone od strony „wielkiego morza", które, posiadając silniejszą i częstszą falę, więcej objawia zaborczego charakteru. To też rybacy skarżą się, iż szczególniej jesienią zalewa ono daleko piaski wybrzeża, i sięgając do pasa żyznej ziemi, uszczupla coraz bardziej ich lasy i pastwiska.

Domy mieszkalne mieszczą się na Helu zawsze od strony zatoki, t. j. tak zwanego „małego morza", które jest spokojne i płytkie, szczególniej od brzegu; nie posiada ono prawie wcale fali, a wiatr przeważnie dmie od strony



Powrót z połowu w Karwi. — (Z obrazu Wł. Nałęcza).

północnej lub północno-zachodniej, od której wsie są osłonięte pasmem wzgórz, lasem porośniętych.

To też malarski charakter obu tych części Bałtyku różni się zasadniczo; o ile zatoka przedstawia przeważnie gładką taflę wody, zrzadka niewielką falą poprzecinanego, o tyle pełne morze jest zmienne, jak kameleon i daje coraz inny widok w przeróżnych porach dnia. Jasne, przejrzyste i chłodne w mgłach poranku, ciemnieje i nabiera głębszysh tonów po południu. Najpiękniejszy jednak widok przedstawia pod wieczór, kiedy tarcza słoneczna chyli się ku zachodowi i ozłaca swemi promieniami toń morską. Czasem słońce chwilowo kryje się za chmurę, a wówczas leją się blaski rude, które pokrywają falę barwą roztopionej miedzi Są to efekty niezwykle silne, ale szybko przemijające i dlatego nader trudne do uchwycenia.

Pociągają one jednak niezmiernie artystę zamiłowanego w pejzażu morskim, stanowiąc dlań niewyczerpaną skarbnicę.

Na studjach nad tym zmiennym, a pociągającym żywiołem trawiłem też dnie całe przez kilkotygodniowy pobyt mój na Kaszubach. Z Jastarni zrobiłem wycieczkę po całym brzegu polskim aż do Karwi, małej osady rybackiej, ostatniej placówki polskiej przed Pomeranją. Tam również namalowałem dużo szkiców morskich, które wykorzystałem w szeregu obrazów kompozycyjnych, wziętych z życia naszych dzielnych rybaków morskich. Szkice, notatki, studja rysunkowe piętrzyły się coraz bardziej i składały się na wszechstronny materjał do obrazów, których treść zaczerpnąć zamierzałem z pięknej krainy kaszubskiej.

Spis treści

Spis rycin